

W numerze: WITOLD SŁAWSKI *Choć minęły zaledwie cztery miesiące...* ● EUGENIUSZ AJNENKIEL
 ● Autorze „Łodzianki” — B. Lubicz-Zahorskim ● TADEUSZ OLEJNIK *Ostatni list do matki*
 ● PWSSP za granicą ● Zawszgd o wszystkim ● Nowela

Łódź



17 (701)
 25. IV. 1971 r.
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

TADEUSZ GIGGIER

Dwa życiorysy

O tym mieście mówiło się często w domu. Najpierwsze, zarazem najmocniejsze wrażenia, jakie zapadły w nie zapisaną jeszcze wyobraźnię, z nim były związane. Pani Helena wspomina, jak przeżywała każdą wyprawę do starego grodu, a niedziela, gdy rodzice, przysposobiwszy odpowiednio furmankę (innej komunikacji wtedy nie było) zabierali ją „w gości” do rodziny — była dla niej podwójnym świętem. Mocniej uderzało serce, gdy w oddali, okolone zielonym pasmem wzgórza, ukazywały się bielejące w słońcu domy i czerwone wieże kościołów. Tak bardzo pragnęła znaleźć się co rychlej wśród znanych już sobie ulic, dać nurka między przykościelne kramy, delectować się wystawą sklepową, na której (była przecież dziewczyną) zgromadzono tyle pięknych bluzeczek, spódniczek, świecidełek.

A potem przyszła szkoła średnia i następne wyprawy do Łomży, także furmankami, na ćwiczenia z fizyki i chemii, w towarzystwie koleżanek i kolegów. Któregoś razu kolega-dowcipniś podpalił słomę na furmance, na której ona jechała — chcąc być może zadokumentować w ten sposób swoje gorące uczucie. W oczach pani Heleny, kiedy wspomina to zdarzenie, nie ma oburzenia, jest jakby odbłask tamtego ognia. „Szkoda tylko — żartuje — że był to ogień słomiany”.

Zawsze znalazła chwilę czasu, żeby odwiedzić łomżyńską rodzinę, przysiąść na miękkiej kanapie albo stanąć w oknie i obserwować ruch uliczny.

— Dziś po tamtym domu nie ma nawet śladu — mówi pani Helena — a z tamtego mieszkania zostały tylko obrazy.

+

Powiedzmy teraz coś o wczesnej młodości Łomży, miasta, w którym dziś pani Helena zamieszkuje.

Istnieją sporo barwnych opisów, dotyczących młodości Łomży. Jeden z ciekawszych można znaleźć w książce Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego „Puszcze polskie”. Czytamy tam m.in.:

„Bogate to było miasto i z różnych korzystało przywilejów, jako to wolność od cel wodnych, wyrąb drzewa w puszczech Łomżyńskiej i Giełczyńskiej, w lesie Wąsowskim i w Czerwonym Borze.

Mieszkała tu w zamku samotna, zadumana wdowa Anna Jagiellonka, a gościli w Łomży — Zygmunt August, Bona i August II. Potężna to była twierdza, broniąca Mazowsza przeciwko Krzyżakom i Litwie. Kasztelan Tułny pod murami Łomży śmiercią bohaterską przypłacił zwycięstwo nad Zakonem w roku 1410, a „drogę krzyżacką” pamiętają ludzie aż do dnia dzisiejszego.

Po wygaśnięciu linii mazowieckiej gród ten zaczyna podupadać, Tatarzy Kozacy Nalewajki, ogień i powódzie — to przyczyny jego powolnego konania. Miasto utraciło dawne przywileje i nadania, bo spalił je zdrajca, partyzant Nalewajki — Franek Oblom —

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. W. Parys

Pamięć narodowa

Kwiecień jest miesiącem pamięci narodowej. Pamięć nie zachowuje wszystkiego, co przeżywają ludzie pojedynczy, społeczeństwa i narody. W pamięci utrwalają się wydarzenia, które w sposób szczególnie zaważyły na naszym życiu, które zdet-

minowały nasze poczynania. Pamięć narodowa jest pamięcią historyczną, jest czymś w rodzaju muzeum, gromadzącego dla obecnych i przyszłych pokoleń fakty godne zapamiętania. Naród nie mający pamięci historycznej czyli historii — nie istnieje. Pamięć zapisuje rzeczy piękne, okresy chwały i zapisuje rzeczy tragiczne. W kwietniu, miesiącu pamięci narodowej, rozpamiętujemy ofiary poniesione przez społeczeństwo polskie w ostatniej wojnie i latach okupacji. Miejsca bohaterskich walk i miejsca straceń. Czyny bojowe i męstwo ludności cywilnej. Wspominamy i przypominamy tych, co polegali, abyśmy mogli żyć. Jeszcze raz wracamy do czasów „nocy narodowej” nie po to, aby pławić się w dolożyzmie i martyrologii, lecz po

to, aby nie uronić nic z tego, co winno być ocalone od zapomnienia.

Dziewiętnastowieczne hasło „Za wolność waszą i naszą” przeszło w wiek dwudziesty. Na wszystkich polach bitewnych drugiej wojny światowej Polacy daną krwią poświadczyli prawdę tych słów. Przeszłość zobowiązuje teraźniejszość do lepszej przyszłości. Ofiary nie poszły na marne. Naród odbudował na nowo swoją egzystencję. Pamiętajmy o tym, co było, aby tym lepiej umacniać to, co jest, i tworzyć to, co będzie.

rd.

CHOĆ MINĘŁY ZALEDWIE CZTERY MIESIĄCE...

W okresie między zjazdami najwyższą władzą partijną jest Komitet Centralny. Kieruje on całokształtem pracy partii i kontroluje działalność wyłonionych przez siebie Biura Politycznego i Sekretariatu. Te statutowe postanowienia wypełniło IX PLENUM KOMITETU CENTRALNEGO, które 16 kwietnia obradowało w Warszawie. Komitet Centralny wysłuchał dwóch sprawozdań: Edwarda Gierka z obrad XXIV Zjazdu KPZR oraz Edwarda Babucha z działalności Biura Politycznego i Sekretariatu KC. Premier Piotr Jaroszewicz złożył natomiast informację z prac rządu. Plenum powzięło także decyzję o zwolnieniu zjazdu partii na przełomie lat 1971/72 oraz uzupełniło skład sekretariatu, wybierając na stanowisko sekretarza KC — Stanisława Kanię.

Sprawozdawczy w dużym stopniu charakter obrad plenarnych stanowi w praktyce ostatnich lat cenne novum. Pozwala członkom najwyższej między zjazdami instancji partyjnej kontrolować działalność Biura Politycznego i Sekretariatu, daje zaś informację o podejmowanych i rozstrzyganych problemach. Krótka uchwała, jaką przyjął Komitet Centralny, stwierdza, że działalność ta była zgodna z uchwałami VII i VIII Plenum, sprzyjała umocnieniu partii i zacieśnieniu jej więzi z całym społeczeństwem. Do takiego stwierdzenia upoważnia wiele faktów z czteromiesięcznej działalności nowych władz partyjnych.

W okresie, jaki minął od kryzysu grudniowego i zmian w kierownictwie partii, najpilniejszym zadaniem było przywrócenie politycznej stabilizacji kraju. Mogło to nastąpić tylko na drodze odbudowy zaufania do partii, umocnienia jej kierowniczej roli i autorytetu władzy.

Polityczne skutki błędnych decyzji sprzed wydarzeń grudniowych niwelowane były stopniowo przez kroki, wychodzące naprzeciw powszechnemu postulatowi społeczeństwa. Podniesienie płac najniższemu zarabiającemu, zamrożenie cen artykułów spożywczych na dwa lata, dokonanie niezbędnych zmian w składzie najwyższych organów państwowych i Centralnej Radzie Związków Zawodowych — to tylko wstępne przedsięwzięcia, które udzieliły kredytu zaufania zamieniały na fakty aktywnego poparcia. Rozwinął się niezmiernie cenny ruch zobowiązań produkcyjnych, podejmowanych nie pro forma, jak to często zdarzało się w przeszłości, ale w celu rozwinięcia produkcji rynkowej i wypracowania środków na zakup niezbędnych artykułów. Powstałe w ten sposób wartości materialne ułatwiały podejmowanie dalszych decyzji. Najważniejszą z nich było anulowanie grudniowej podwyżki cen artykułów żywnościowych. Ten ważny krok, mający nie tylko znaczenie ekonomiczne, lecz i psychologiczne, był możliwy dopiero wówczas, gdy otrzymaliśmy pożyczkę radziecką.

Przezwyciężanie kryzysu politycznego nie było weale łatwe. Tu i tam dochodziło jeszcze do przerw w pracy, które w naszym mieście przybrały bardziej masowy charakter. Nie wszystkim bólączkom i trudnościom można już dziś położyć kres. Występują przecież różne sporne problemy, pojawiają się nadal różne sytuacje konfliktowe, których źródłem jest najczęściej podział funduszy zakładowego. Dziś już jednak powstały warunki do spokojnego rozwiązywania nabrzmiałych spraw na forum partyjnym i związkowym. Coraz powszechniejsza jest bowiem świadomość, że przerwy w pracy przynoszą tylko szkody gospodarce i polityczne, utrudniają i opóźniają poprawę sytuacji materialnej ludzi pracy.

Równoległe ze wzrostem siły nabywającej ludności rozwiązywanie problemy zaopatrzenia rynku. Rzecz bowiem zrozumiała, że znaczna część zwiększonych dochodów społeczeństwa powraca natychmiast na rynek, zwiększając poważnie sprzedaż, przede wszystkim artykułów spożywczych. Podjęto więc szereg posunięć doraźnych i długofalowych, jak na przykład import mięsa i tłuszczów, zwiększony zakup ziarna kakaowego czy też kawy. Skutki tych decyzji są odczuwalne, chociaż nie wszędzie w jednakowym stopniu.

Ze sprawozdania, przedłożonego Komitetowi Centralnemu, wynika, że nie mniej uwagi niż rozwiązaniom bieżącym poświęcano także długofalowym problemom rozwoju kraju. Skorygowany został plan gospodarczy roku bieżącego, przedyskutowano — w ramach przygotowań do planu pięcioletniego — programy rozwoju kluczowych gałęzi przemysłu i rolnictwa. Przesadzono o niezmiernie ważnej sprawie — zniesieniu od początku przyszłego roku obowiązkowych dostaw zwierząt rzeźnych, zboża i ziemniaków, przy jednoczesnym odpowiednim zwiększeniu podatku gruntowego. W kompleksie innych decyzji, dotyczących rolnictwa, krok ten będzie miał niezmiernie ważne znaczenie dla rozwoju produkcji rolnej, co w konsekwencji dodatnio wpłynie na zaopatrzenie ludności w produkty spożywcze.

Wiele uwagi Biuro Polityczne poświęciło programowi zwiększenia budownictwa mieszkaniowego. Niedostateczne dotychczas tempo budowy nowych mieszkań niekorzystnie wpływa na warunki życia społeczeństwa. Jest też niejednokrotnie hamulcem rozwoju gospodarczego

kraju. Weale nierzadko potencjał przemysłowy nie jest należycie wykorzystywany, ponieważ w ośrodkach koncentracji przemysłu nie ma mieszkań. Z tych wszystkich powodów wydatną poprawę sytuacji mieszkaniowej uznano za jedno z naczelnych zadań najbliższych lat.

Wybiegając w przyszłość nie można wyobrazić sobie, aby w ślad za zmianami w kierunkach rozwoju kraju nie modernizować systemu zarządzania gospodarką narodową. W tym celu podjęła pracę komisja, składająca się z wybitnych specjalistów, która przedłożyła projekt udoskonalenia systemu.

Z pola widzenia kierownictwa partii nie uszły także problemy szkolnictwa i młodzieży. I w tej dziedzinie zapadły ważne postanowienia. Dotyczą one m. in. poprawy bazy lokalowej szkół wyższych, programu poprawy warunków bytowych studentów i pracowników nauki, lepszego wykorzystania dla potrzeb szkolnictwa bazy naukowej i aparatury badawczej, będącej w posiadaniu różnych instytutów i placówek naukowych. Rozpatrzono także projekt reformy stażów pracy absolwentów szkół wyższych oraz średnich i zasadniczych szkół zawodowych.

Lista dokonanych jest długa, tematycznie bogata. A przecież na podjęcie tych wszystkich spraw czasu nie było zbyt wiele. Tym bardziej, że trzeba było go dzielić i podejmować równocześnie wiele problemów międzynarodowych.

Na IX plenarnym posiedzeniu, jak powiedzieliśmy tu już powyżej, Komitet Centralny (w pierwszym punkcie swych obrad) wysłuchał sprawozdania delegacji PZPR ze zjazdu radzieckich komunistów. Pełny tekst tego sprawozdania przyniosła centralna prasa codzienna. Odtworzone zostało także w programach radiowym i telewizyjnym. Nie była to jednak zwykła relacja. Raz po raz przewodniczący delegacji — Edward Gierek zwracał uwagę na wnioski, jakie z rozwoju radzieckiej gospodarki i innych dziedzin życia wysuwają się dla nas. Kiedy na przykład podkreślał, że XXIV Zjazd KPZR wysunął na czołowe miejsce sprawę przyspieszenia wzrostu dobrobytu ludzi pracy — zaraz dodawał, że i Polska ma obiektywne warunki dla systematycznego podnoszenia stopy życiowej. Kiedy mówił o międzynarodowym podziale pracy w RWPG — natychmiast akcentował, że Polska ma poważne możliwości wyspecjalizowania się w niektórych działach produkcji artykułów konsumpcyjnych. Kiedy dzielił się spostrzeżeniami ze zwiedzania wielkich moskiewskich fabryk domów, gdzie tanio produkuje się nowe, lekkie elementy budowlane — pośpiesznie dodał, że delegacja nasza odbyła rozmowy na temat pomocy radzieckiego przemysłu w rozwinięciu budownictwa mieszkaniowego w naszym kraju.

Dlaczego to podkreślam? Aby zwrócić uwagę Czytelników na charakter tego sprawozdania, aktywne wykorzystanie dorobku zjazdu także dla naszego kraju i zbieżność w kierunkach gospodarczego rozwoju.

★

IX Plenum Komitetu Centralnego PZPR miało na celu skontrolowanie, jak wprowadzane są w życie uchwały dwóch poprzednich plenarnych posiedzeń. Wynik tej oceny czteromiesięcznego działania kierownictwa partii jest optymistyczny. Także na jutro i pojutrze.

Zawsząd o wszystkim

Ośmiornica znad Potomaku

„PARIS MATCH” — PARYŻ

Naszego fotoreportera zatrzymywano w ciągnących się bez końca korytarzach Pentagonu aż do godziny 14. Na człowieka obciążonego aparatem fotograficznym zwracają tam natychmiast uwagę, nawet jeśli posiada wszystkie niezbędne przepustki, a w ślad za nim postępuje nieodłączna asysta w osobie oficera służby bez pieczęstwa. Koniec końców zrobił on swoje zdjęcie. Ale i tak nie przekroczył progu obszernego pomieszczenia na pierwszym piętrze, znajdującego się pod wzmocnioną ochroną. Tu wejść nie można, nie mając specjalnej przepustki z kolorowym zdjęciem i mnóstwem tajemniczych znaków.

A tam, za stolami, otoczeni wielkimi mapami, podświetlonymi ekranami, telefonami i teleksami czerwonego, białego i złotego koloru, dyżurują oficerowie przetransportowani z różnych części świata, w tym z Wietnamu, Kambodży, ale także ruchami okrętów 6 i 7 Floty USA, ruchami bombowców strategicznych z ładunkiem bomb jądrowych, atomowych łodzi podwodnych, uzbrojonych w rakiety „Polaris”, jak również wszystkich rodzajami amerykańskich sił zbrojnych, stacjonujących czy to w obrębie Zachodniego Berlina, czy Południowej Korei.

Jest to centrum dowodzenia wojskowego Pentagonu — główny nerw amerykańskiej maszyny wojennej, działającej w różnych częściach świata, centralny ośrodek dowodzenia blisko trzy i pół

millionową armią, którą USA trzymają pod bronią. W momentach krytycznych zwołuje się tutaj narady głównodowodzących czterech rodzajów broni armii USA: wojsk lądowych, powietrznych, morskich i piechoty morskiej. Nierzadko, podejmowane tu ściśle tajne decyzje wywołują później kontrowersyjne opinie w społeczeństwie amerykańskim...

Po dwudziestu dniach od wtargnięcia wojsk amerykańskich do Kambodży Pentagon opublikował triumfalny komunikat: prezydent Nixon i wojskowi zapewniają, iż cała operacja przebiega pomyślnie. Jednocześnie nabrała rozgłosu inna, mniej sensacyjna informacja, która zabrzmiiała w Pentagonie jak dzwon pogrzebowy. Oto rada administracyjna Instytutu Technologicznego w Massachusetts podjęła jednoznacznie decyzję o zamknięciu laboratorium Charlesa Draypera.

Laboratorium to, zatrudniające dwa tysiące pracowników, otrzymuje co roku subsydia ministerstwa obrony i NASA (Państwowy Urząd Lotnictwa i Astronautyki), w wysokości 55 milionów dolarów na prace związane z konstrukcją systemów sterowania statkami kosmicznymi typu „Apollo” oraz rakietami „Posejdon” dla atomowych łodzi podwodnych.

Studenti i profesorowie tej największej uczelni amerykańskiej odmówili współpracy z Pentagonem. Wcześniej analogiczne decyzje podjęły uniwersytety Stanford i Columbia, a za nimi także uniwersytet George-

town w Waszyngtonie.

„E-E-880”. Oznacza to: III piętro, korytarz „E” (od nazwiska Eisenhowera), pokój 880. Gabinet szefa. Na pozłacanej tabliczce przytwierdzonej do drzwi lakoniczny napis: Minister Obrony. Z okna przestronnego gabinetu, wysłanego puszystym dywanem, widać Potomak, w dali — sylwetki Białego Domu i Kapitolu. Pliki dokumentów z napisem: „Tajne” leżą na biurku, za którym urzędował niegdyś Pershing (amerykański generał, dowódca korpusu ekspedycyjnym USA we Francji w 1918 roku).

Oprócz gabinetu, minister obrony ma jeszcze osobny apartament, w którym wypreczywa, łaźnienkę i prywatny bufet, a także własną windę, chociaż w całym gmachu Pentagonu funkcjonuje zaledwie 13 wind na 30.000 pracowników.

Mówi się, iż 48-letni Malvin Laird, dziesiąty minister obrony USA, orientuje się lepiej w problemach Pentagonu od swoich poprzedników — byłych generalnych dyrektorów i prezydentów kompanii, takich np. jak Charles Wilson z General Motors, Robert MacNamara z koncernu Forda, czy adwokat Clark Clifford. Laird przez szesnaście lat był członkiem Izby Reprezentantów. Będąc w tym czasie członkiem komisji do spraw wojskowych USA niejednokrotnie interpelował ministrów obrony, a w tej liczbie Mac Namara i Clifforda. Jego pytania nie odznaczały się delikatnością.

Laird jest doskonale obznajmiony z mechanizmem działania swego resortu, z jego ukrytymi sprężynami, a w sferze manewru politycznego nie ma sobie równych. Ten mężczyzna o pełnej twarzy i głęboko osadzonych oczach potrafi — jak utrzymują jego przeciwnicy — i zresztą lawirować i jednocześnie poruszać się niezgrabnie, niczym słoń w

sklepie z porcelaną.

Po prezydencie USA, który dźwierz w swych rękach funkcję głównodowodzącego sił zbrojnych, najpotężniejszymi ludźmi w Stanach Zjednoczonych są szefowie sztabów. Wchodzą oni w skład sławetnego komitetu szefów sztabów i mają bezpośredni dostęp do prezydenta, z pominięciem ministra obrony. Zgodnie z konstytucją USA szefowie sztabów oraz minister obrony są najbliższymi doradcami prezydenta.

Prezydentowi Stanów Zjednoczonych, gdzie by się on nie znajdował, towarzyszy nieodłączny szef sztabu walczący z czarnej skóry. Spi on nawet przy drzwiach prezydenta. W walizce znajduje się kod, którym ma prawo posługiwać się wyłącznie prezydent USA w wypadku wybuchu konfliktu jądrowego. W ciągu niecałej minuty może się prezydent połączyć, przez specjalny aparat telefoniczny, z dowolną amerykańską jednostką wojskową, w dowolnym rejonie świata, jak również z patrolującymi w powietrzu bombowcami lotnictwa strategicznego.

Pentagon, który w latach II wojny światowej był faktycznie operatywnym sztabem sił zbrojnych USA, teraz stał się mechanizmem tak ociążalym, iż utracił zdolność efektywnego sprawowania swych funkcji. „Przeciwnik nie będzie tak głupi, żeby bombardować Pentagon” — mówiono mi ze śmiechem — „To by tylko położyło kres panującemu dezorganizacji”.

W ciągu 28 lat istnienia Pentagonu powstało o nim mnóstwo anegdot. Opowiadają o skromnym telegrafście, który przyniósł kiedyś do Pentagonu tajną depeszę, a wyszedł stąd po osiemnastu latach w stopniu pułkownika. Mówią, że kiedy wiceminister obrony zajął gabinet swego sasiada, to w wyniku postępującej „reakcji

łańcuchowej” zmieniło gabinet również dwanaście tysięcy oficerów. Pentagon nazwany „wiewiórczą dziuplą”, „łamięłową”, „Frankensteinem” (mając na myśli potwora z powieści pod tym tytułem, pióra Mary Shelley — red.).

Społeczeństwo amerykańskie jest zaniepokojone nie tyle rozbudowanym aparatem wojskowym Pentagonu, ile jego kolosalnym wpływem na polityczne i ekonomiczne życie w kraju.

Na kilka dni przed przekazaniem pełnomocnictw prezydenckich Johnowi Kennedy'emu w styczniu 1961 roku, Dwight Eisenhower, sam przecież generał, powiedział: „Powinniśmy wystrzec się przed przemożnym wpływem, jaki, świadomie lub nieświadomie, wywieramy na organa państwowe przy pomocy kompleksu wojskowo-przemysłowego”.

Kompleks wojskowo-przemysłowy. Termin ten wszedł już w obieg i dziś brzmi jeszcze groźniej, niż dziesięć lat temu. Stany Zjednoczone utrzymują 2,270 baz wojskowych poza granicami swego kraju. Budżet wojskowy USA wynosi (z uwzględnieniem wydatków na wojnę w Wietnamie) około 80 miliardów dolarów rocznie. (Według innych danych — przeszło 90 mld.). W 1968 roku dwie trzecie wpływów z podatków federalnych pochłonął Pentagon. 21 procent wykwalifikowanych robotników, w ten lub inny sposób, pracuje na potrzeby Pentagonu. I jeśli do 3.400 tysięcy żołnierzy i 1.300 tys. osób personelu cywilnego dodać 3.800 tys. robotników, bezpośrednio lub pośrednio opłacanych z budżetu ministerstwa obrony, to z prostego rachunku wynika, iż w sferze oddziaływania Pentagonu znajduje się 8 i pół miliona Amerykanów.

W 1968 roku sto wielkich firm wykonujących zamówienia Pentagonu, zawar-

ły kontrakty z resortem armii na sumę 26 miliardów dolarów. Wartość dostaw na potrzeby Pentagonu samej tylko korporacji General Motors wzrosła w ostatnim dziesięcioleciu z 281 milionów do 630 mln dolarów, a General Electric — z 2.783 mln do 1,5 miliarda dolarów. Dwadzieścia dwa tysiące kompanii przemysłowych rozdziela zamówienia ministerstwa obrony pomiędzy sto tysięcy pomniejszych firm. Pentagon wydatkuje rokrocznie przeszło 4 miliony dolarów na cele propagandowe i reklamowo-informacyjne.

Nierzadko zanizony koszt projektu już zaakceptowanego przez Pentagon, wzrasta w toku jego realizacji o 300-700 procent. Pentagon, zainteresowany w jak najszerszym wykonaniu swego programu uzbrojenia, pokrywa te różnice bez szemrania. Udziela on również kredytów, przyjmując na siebie rolę niejako bankiera, który stwarza wielkim kompaniom możliwość uzyskiwania dodatkowych zysków rzędu 600-800 procent. W 1968 roku, 90 procent kontraktów zawarł Pentagon bezpośrednio z firmami, powiązanymi z amerykańską soldateską. Nie potrzebowały one nawet stać do walki konkurencyjnej o otrzymanie zamówień wojskowych.

Z trzynastu szeroko zakrojonych programów Pentagonu w zakresie aeronautyki i rakiet — na ogólną sumę 40 miliardów dolarów — dwa programy (na sumę dwóch miliardów dolarów) — anulowano, zaś dwa inne wiszą na włosku, chociaż kosztowały już dotąd 10 miliardów dolarów. Co się tyczy pozostałych dziewięciu programów, to — zgodnie z opinią gruny ekspertów — zaledwie 40 procent zamówionego sprzętu elektronicznego działa bez zarzutu. Wszystko to, oczywiście nie licząc amerykańskich podatników.

Dalszy ciąg ze str. 1

mieszczuch warszawski, który podawał się za rotmistrza chorągwi królewskiej — Jakuba Sułkowskiego. Mieszkała tu też czarownica, Barbara Królka, która, jak głosi podanie, urok rzuciła na Zygmunta Augusta i zgładziła dwie królowe — Elżbietę i Barbarę Radziwiłłównę. Gdy wpadła w końcu w ręce burmistrza wizneńskiego i została skazana na śmierć, sprowadziła na kraj zarazę morową, lecz burmistrz nie ułaskiwił się i „czarcia babę” spalił.

Opaliński i Czarnecki ścierali się tu ze Szwedami w roku 1658. Starostowie łomżyńscy surowością i wyzyskiem zmusili Kurpiów do powstania w latach 1711 i 1733, co znów odbiło się fatalnie na losach miasta. Gdy w roku 1795 przeszło ono we władanie Prus — pozostały w nim tylko gruzy i ruiny, poza kościołami nic nie mówilo o minionej świetności tego najpiękniejszego z miast starego Mazowsza. Najstarszy kościół farny o pięknych sklepieniach gotyckich, marmurowej posadzce, grobowcach, wspaniałym ołtarzu i kracie roboty snycerskiej, odbudowano po pożarze w roku 1696. Na wieży kościelnej — dawniej baszcie zamkowej — przechował się piękny dzwon św. Michała, odzwyczajony się, jak twierdzi staruchy, przed każdą klęską zagrażającą miastu.

Kościół farny, szczęśliwym trafem ocalały z pożogi ostatniej wojny, to osobny rozdział w dziejach miasta.

Pierwotny kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca zbudowany został przez mnicha benedyktyńskiego Brunona, który przybył tu właśnie w ślad za św. Wojciechem, aby nawracać Prusaków. Ta metryka dowodzi, że Łomża jest jednym z najstarszych miast w naszym kraju.

Wnętrze katedry, znajdującej się tu grobowce, przywodzą na pamięć katedrę wawelską.

Wśród licznych tablic pamiątkowych w katedrze — tablica poświęcona pamięci Henryka Sienkiewicza: „Wielkiemu mistrzowi słowa, rzecznikowi Polski przed światem — H. Sienkiewiczowi — w dowód największej czci i ku pamięci przyszłych pokoleń — mieszkańców Łomży”. Poniżej data — rok 1917. A więc jeszcze lata niewoli. Kult Sienkiewicza, pielęgnowany przez łomżyńskich, miał w tym czasie specjalną wymowę, lecz związki z pisarzem Łomża miała i osobiste — szczegółów na ten temat obiecała mi dostarczyć właśnie pani Helena.

• ☆ •

Siedzimy przy kawie w pokoju pani kierowniczki: pan Rajmund Parczewski, jeden z najstarszych mieszkańców Łomży, liczący sobie — bagatela! — ponad 90 lat, pan Franciszek Wasążnik, emery-

towany nauczyciel, poseł Ziemi Łomżyńskiej, autor niniejszego — oraz pani kierowniczka, Helena Czernekowa. Wzdłuż ścian oszklone szafy z książkami, grube foliary oprawne w płótno i skórę, litery tłoczone, złożone i jakże tylko chcecie, wszystko to przyciąga oko i aż korci do oglądania, ale względy towarzyskie — i nie tylko towarzyskie — nakazują mi odłożyć te przyjemności na później.

Opowiada pan Rajmund Parczewski:

— Było to w roku 1900, przyjechał do nas Henryk Sienkiewicz. Najpierw witano go na stacji w Czerwonym Borze, potem konna kawalkada ruszyła w stronę Łom-

dziejów łomżyńskich. Opowiada o pobycie w Łomży Napoleona. No, bo jakże — Napoleon był w tylu mniej znacznych miastach polskich, nie mogło więc go nie być w tysiuletnim grodzie.

Pani kierowniczka otwiera szafę i wyjmuje z niej miniaturowe pudełeczko, obelgnięte płótnem. Do pokrywki pudełka przytwierdzona jest kartka z jakimś napisem Literę bardzo drobno, ale czytelne. Rozszyfruje napis z niejakim zdumieniem: „Ze spodni i kaftanika Napoleona, które on pierwszy raz po klęsce pod Beresyną, przebijając się w Łomży dnia 9 grudnia 1812 roku tamże zostawił”.

wszystkie pierwodruki dzieł Zygmunta Glogera, a obok nich — to już na innych prawach, pierwodruki dzieł Adama Mickiewicza: „Poezye — tom drugi — wydanie nowe pomnożone — Petersburg 1823” — nieduża książka, w której po raz pierwszy ujrzały światło dzienne takie utwory jak: „Pierwiosnek”, „Romantyczność”, „Lilje”, „Dziady” cz. II i IV, „Sone-ty Krymskie”, „Rozmowa”; pierwsze paryskie wydanie „Pana Tadeusza” z data 1834, sasiadujące na półce z wydaniem w 110 lat później nakładem Związku Patriotów Polskich w ZSRR „Grażyna” i „Konradem Wallenrodem”.

Pani kierowniczka zdejmując z szafy duże jak blat stołu, płaskie pudełko i otwiera je bez słowa. W pudełkach żółte, sztywne, pięknie zdobione pergminy z oryginalnymi podpisami i pieczęciami królów polskich: prawa cechowe nadane miastu Łomży. Na górze pierwszego pergaminu napis: „Sigismundus Tertius”, na dole podpis „Sigismundus Rex”; drugi pergamin — potwierdzenie tych praw — z podpisem „Władysław Rex” i królewską pieczęcią w laku; trzeci — nadanie szlachectwa „urodzonemu Janowi Wolskiemu” — z podpisem Stanisława Augusta i data 1765.

Nie ukrywam, bo nie mogę, zaciekawienia zbiorami. Na stoliku leży teraz przede mną niewielka książeczka w twardych okładkach. Otwieram okładki i natrafiam wzrokiem na miejsce i datę edycji: Kraków 1588. Blisko 400 lat temu. Toż to dopiero biały kruk! Nie mniej interesujący jest tytuł rozprawy, tytuł tasiecowy, złożony gotycką czcionką: „Epitome opusculi to jest gruntowna y dostateczna sprawa: o ładowitey y zaraźliwej niemocy Pestilencyey albo morowego powietrza — item, co jest Pestis albo Pestilentia — skąd nazwana — od kogo y skąd pochodzi — kto iey przyczyny daje — jako różna y rozmaita — na które ludzkie przypada — jako się iey wiarować y chronić — jako iá poznać — jako iá wnątrz y na wierzchu leczyc — y odegnać. Przez Marcina Ruffa z Welca — Medika y Cyrulika Łomzensekiego”.

Zaczyna mi się macić w głowie. A niestrudzona pani kierowniczka wydobywa z zakamarków dalsze skarby i układa je przede mną na stoliku, oczy jej świecą, twarz promienieje:

— Widzi pan, staram się zbierać biografie wszystkich zasłużonych ludzi, którzy pochodzili z Łomży, albo w niej żyli i pracowali. Sporo tu nazwisk pierwszej wielkości: Szymon Konarski, Ludwik Mierosławski, Wojciech Szwejkowski, Adrian Krzyżanowski, to wszystko absolwenci szkół łomżyńskich. Ten ostatni to słynny matematyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Odnalazłam jego grób na Powązkach, żałowałałam tylko, że bardzo za-

niedbany. Adrian Krzyżanowski napisał kiedyś, że Łomża jest jednym z najpiękniejszych miast w Europie, a na pewno najpiękniejszym miastem w Polsce.

— Powiedzmy więc sobie, od jak dawna mieszka pani w Łomży?

— Dwadzieścia lat z okładem. Zaczęłam tu po wojnie pracować w szkole, bo jestem z zawodu nauczycielką. Potem przeniesiono mnie do biblioteki. Nie chciałam iść, beczalam, ale potem biblioteka mnie wciągnęła. Odezwiała się we mnie żyłką rodzinną, bo ojciec bardzo lubił książki, zbierał stare pisma, stare druki, nawet takie bez większej wartości, mówił jednak zawsze, że mogą się komuś przydać. Ale właściwie dopiero tu, w bibliotece sprawdzam słuszność tego powiedzenia, poczynając od uczniów szkół podstawowych, a kończąc na profesorach uniwersytetu.

• ☆ •

Gdy wyjeżdżamy za rogatkami miasta, kierowca gasi światło w autobusie. Szosa spada gwałtownie w dół w kierunku Narwi. Za nami świecą okna okazałych, przeważnie czteropiętrowych bloków, żarzą się czerwienią neony sklepowe. To wszystko zostało zbudowane w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, bo wojna obsesała się z Łomżą okrutnie, zamieniając ją w ruiny i zgłiszczą. Ocalała tylko katedra, nieliczne budynki mieszkalne, kilka stylowych gmachów użyteczności publicznej. A dzisiaj? Przypominam sobie, co o dzisiejszej Łomży mówił pan Franciszek Wasążnik: w tej chwili Łomża przeżywa drugą młodość, jest chyba najpiękniejszą w ciągu swojej tysiuletniej historii.

Pozostał nam drugi życiorys: pani Heleny Czernekowej. Czy z równie optymistyczną pointą? I tak, i nie. Tak, bo pani Helena mieszka w Łomży i jest wreszcie — jak to zwykło się mówić — w swoim żywiole. Ciągłe pełna nowych pomysłów, pełna inicjatyw. Jej ostatnia pasja to jeździectwo, ściślej — gwarą łomżyńska, gwara zanikająca, stąd nowa odmiana zbieractwa, nagrania magnetofonowe, zapisy fonetyczne, kartoteki. Jest tych kartotek już ponad pięćdziesiąt, a każda z nich to inna wieś łomżyńska: Boguszewo, Miastkowo, Bożejów, Konarzycze itd. itd. Pani Helena nie zapomina wszakże i dalej o Łomży: to dzięki jej staraniom (jakim i flu, niech to zostanie w domyśle) wyszła niedawno płyta „My z Łomży”, będąca końcowym efektem konkursu na tekst łomżyńskiej piosenki i kompozycje do tych tekstów. Tutulowa piosenkę śpiewa (i to jak!) łomżynianka, Hanka Bielicka. A pani Helena myśli teraz o zorganizowaniu w Łomży, przez wzgląd na jej piękne tradycje kulturalne, zjazdu pisarzy-regionalistów z terenu Mazowsza, Podlasia, Warmii i Mazur.

TADEUSZ GICGIER

Dwa życiorysy

ży, Sienkiewicz zamieszkał u mecenasa Smiarowskiego, był to człowiek ustosunkowany, polityk, dzięki któremu właśnie udało się uzyskać u gubernatora Korfa zgodę na zorganizowanie w naszym mieście jubileuszu 25-lecia pracy pisarskiej Sienkiewicza.

Ten jubileusz odbył się w sali „Lutni”, były przemówienia, pieśni, deklamacje, a kwiaty wręczyła Sienkiewiczowi dziewczyna kurpiowska, członkini delegacji spod Ostrołki. Sienkiewicz był bardzo wzruszony, przemówił także do nas, pamiętam, że mówił słabym, jakby zmęczonym głosem, mimo to wrażenie było ogromne, znieśli go po prostu na rękach z estrady.

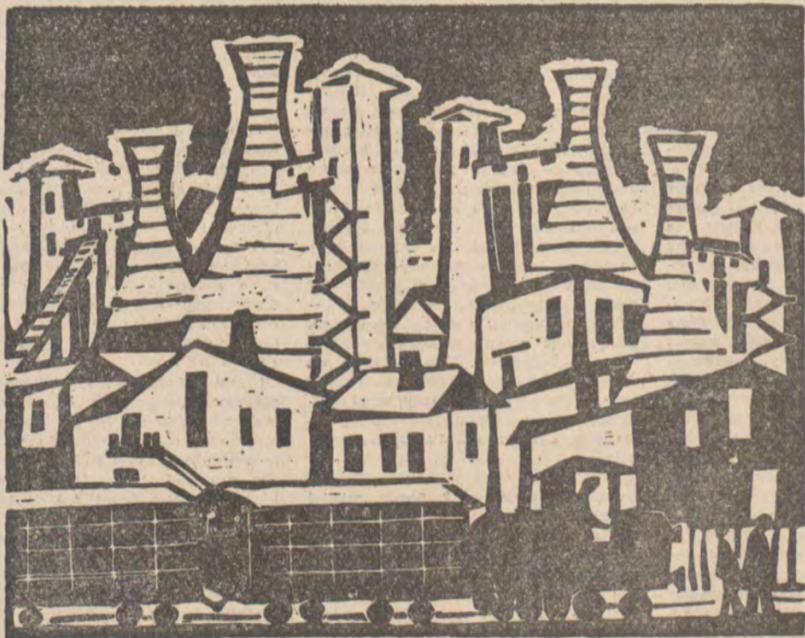
— Nie udało mi się, niestety, ustalić — dopowiada pani kierowniczka — czy Sienkiewicz odwiedził wtedy w Jeżewie Glogera, z którym był w bliskiej zażyłości. Natomiast w starych rocznikach gazet znalazłam wzmiankę o pobycie Sienkiewicza w Łomży w roku 1898, tak więc jego kontakty z naszym miastem były wcześniej. W tej wzmiance mówiło się również o rodzinie Smiarowskich, ta rodzina kulturowa i później związki z pisarzami i poetami, ostatnio natrafiałam na trop bliskich kontaktów Lechonia ze Smiarowskimi. Dawniej bardzo zabiegano o takie związki, traktowano je jako punkt honoru.

Do rozmowy włącza się pan Wasążnik, również wyborny znawca

Zbiory-trofea, zbiory-okazy, zbiory-białe kruki. Wszystko związane z Łomżą bądź Ziemią Łomżyńską. A więc wydana w roku 1847 „Flora Polska przez Jakóba Waga, magistra filozofii, profesora botaniki Gimnazjum Łomżyńskiego”; a więc wcześniejsze znacznie dzieło Teodora Wagi, wydane w roku 1767 w drukarni supraślskiej księży Bazylianów. „Krótkie zebra- nie Historii y Geografii Polskiej”, a także rzecz napisana przez Joachima Lelewela „Dodatek do Teodora Wagi — Historii Książat i Królów Polskich”, obejmująca panowanie Stanisława Augusta, a więc wydana w roku 1837 „Teoria Gospodarowania Wewnętrznego czyli zbiór wiadomości potrzebnych gospodyniom — przez Antoniego Waga, profesora Instytutu Rządowego Wychowania Panien”;

• ☆ •

Ziemia Łódzka w grafice • Nowy konkurs • Ziemia Łódzka w grafice



Prezentujemy naszym Czytelnikom nowy konkurs. W kilku najbliższych numerach „Odgłosów” reprodukowac będziemy prace graficzne łódzkich artystów, dotyczące konkretnych miejscowości Ziemi Łódzkiej. Zadaniem Czytelników będzie odgadnięcie o jaką miejscowość chodzi. Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartach pocztowych na adres: ŁÓDŹ, PIOTR-KOWSKA 96, „ODGŁOSY” — ZIEMIA ŁÓDZKA W GRAFICE.

Zasady uczestniczenia w konkursie takie same jak w poprzednich. Można nadesłać odpowiedź tylko na jedno zadanie konkursowe, można uczestniczyć w konkursie systematycznie — zwiększając tym samym swoje szanse w losowaniu nagród. Na uczestników bowiem czekają nagrody w postaci bonów towarowych:

- I nagroda — 1.500 zł
- II nagroda — 1.000 zł
- III nagroda — 500 zł

ZADANIE KONKURSOWE NR 4

Widniejące na linorycie KAZIMIERZA KĘDZI wapienniki znajdują się w powiecie pajęczańskim, w mieście znanym m. in. z pleneru łódzkich plastyków. Miasto jest jednak głównie znane właśnie dzięki wapiennikom i wielkiej cementowni, choć ów gród nad Wartą jest bardzo stary i prawa miejskie otrzymał w XIII wieku.

Jak nazywa się miasto w powiecie pajęczańskim, którego wapienniki znalazły się w grafice KAZIMIERZA KĘDZI?

Wybuch na Śląsku w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku III powstania nie był dla społeczeństwa ziemi wieluńskiej zaskoczeniem. Ziemia wieluńska, związana ze Śląskiem odwiecznymi więzami społeczno-gospodarczymi, politycznymi i kulturalnymi, udzielała Ślązakom niezmiernie aktywnej poparcia w okresie plebiscytowym, przekazując na ten cel wielomilionowe ofiary pieniężne w naturze oraz prowadząc ożywioną propagandę polityczną na pograniczu Śląskiem.

Z chwili wybuchu III powstania, działające w Wieluńskim liczne Komitety Plebiscytowe przekształciły się w Komitety Pomocy Powstańcom Śląskiem. Społeczeństwo ziemi wieluńskiej popierało z ofiarną i wszechstronną pomocą Ślązakom. Staraniem powstałego przy Związku Przyjaciół Górnego Śląska sanitariatu organizacji POW oraz Komitetów Pomocy Powstańcom Śląskiem w Wieluniu i Prasce oraz Wieluńskiego Oddziału PCK, organizowano placówki sanitarne.

W Prasce czołowa placówka sanitarna, zwana tu powszechnie szpitalem powstańcym, zorganizowana została z inicjatywy najaktywniejszego w Wieluńskim Komitetu Pomocy Powstańcom Śląskiem w Prasce oraz sekcji Pomocy Powstańcom Górnos Śląskiem przy Wieluńskim Oddziale Powiatowym PCK. Placówka ta została zorganizowana natychmiast po wybuchu powstania, a jej locum stanowiła sala parafialna tzw. wikariatka.

Opatrunków i medykamentów dostarczał do szpitala bezinteresownie znany działacz plebiscytowy, aptekarz W. Lucki. W ten sposób natychmiast po wybuchu powstania szpital w Prasce mógł przyjąć pierwszych rannych powstańców. Byli nimi: Jan Chojnacki i Jerzy Fijolek. Pierwszej pomocy ciężko rannym powstańcom, wobec braku na miejscu fachowego personelu medycznego, udzielały członkinie praszkowskiego oddziału PCK: Cecylia Krzemińska i Zofia Kalwińska. Po kilku dniach przybyła do Praszk oddelegowana z Brześcia nad Bugiem wykwalifikowana pielęgniarka, Kazimiera Teleśnicka. Z braku w Prasce wysoko kwalifikowanego personelu lekarskiego do szpitala powstańczego przyjeżdżali lekarze z innych miast.

O roli, jaką odegrał w okresie III powstania Śląskiego posterunek sanitarny Wieluńskiego Oddziału PCK w Prasce niech świadczy fakt, że w okresie jego istnienia zarejestrowano tu 136 powstańców. W tej liczbie było 10 poległych, 6 umierających, 87 rannych i 33 chorych. Po udzieleniu rannym i chorym pierwszej pomocy lekarskiej kierowano większość chorych do szpitala w Wieluniu, część natomiast leczono ambulatoryjnie na miejscu.

Atmosferę dni powstania, ofiarną pracę personelu szpitala powstańczego i serdeczną pomoc społeczeństwa miasta Praszk dla bohaterów walczącego Śląska najlepiej oddają wspomnienia spisane przez siostrę szpitalną Kazimie-

rę Teleśnicką-Lewandowską, która pracowała w szpitalu od pierwszych dni jego powstania aż do likwidacji. Wspomnienia spisane w zwykłym brulionie szkolnym znajdują się w zbiorach Muzeum Ziemi Wieluńskiej. Przytoczony tu wyjątek nosi tytuł: „Ostatni list powstańca do Matki”. Fragment ten zgodny jest z oryginałem. Wprowadziłem jedynie poprawną pisownię gramatyczną i ortograficzną, zachowując styl autorki wspomnień.

MUTER!

Dziękuję Wam za to, żeście mnie wychowali i wyuczili, a przebaccie, że Was nie usłuchałem i poszedłem. Zośce, mojej siostrze, także dziękuję, że była dla mnie dobrą. Mojej panie Zośce powiedzcie, niech mi przebaczy i nie płacze, fotografi moje niech spali, by inszy na nich oczu

TADEUSZ OLEJNIK

Ostatni list do matki

nie wykalał. Chrzestną Muter powiedzcie ode mnie. Bądźcie zdrowi, przebaczcie.

WASZ JÓZEK GRZĘDA

Pierścienek z rubinkiem zdjął z małego palca i kazał oddać swojej Zośce.

SIOSTRA TELEŚNICKA

Józef Grzęda został ugodzony w prawy obojczyk i kula przeszywała oba płuca wyszła lewym bokiem. Leżąc w szpitalu wciąż wołał szwester. Gdy podeszłam i zapytałam, co pan sobie życzy, odpowiedział:

— Ja nie jestem pan ino Ślązak.
— Wlec co sobie życzycie ode mnie?
— Napisz mi list do mojej Muter.

Gdy list mu napisałam Józef powiedział:

— Musisz mi dać słowo, kiej Zośka, moja panna przyjdzie, że przyjdiesz z nią na moją mogiłę.

Odpowiedziałam mu:

— Wy przecie nie umrzecie i zaprosicie mnie na Wasze wesele.

— Ni, ni, ja umrę. Daj słowo, że przyjdiesz z nią.

Chciało mi się płakać, gdyż był błąd, a ciemne jego włosy dodawały jeszcze większej białości. Później powiedział:

— W moim zakładzie jest dwie fotografi, przynieś mi je. Cały apłagowy żakiet był zalany z lewej strony krwią. Wyjęłam dwa grupowe zdjęcia, przyniosłam i podałam mu je.

— Jedno poszłej Muter, drugie weź sobie.

Zapytałam go:

— Może posłać siostrze lub chrzestnej?

— Ni, ni, jak go nie chcesz to go spali.

Zalaczyłam zdjęcie do koperty i zapisałam:

— Czy wy ojca nie macie?
— Mam — odpowiedział.
— To co ojcu napisać?
— Nie. On był dla mnie niedobry.

Po chwili dodał:

— Napisz mu, że moi buty i zegarek są ostawione w Jastrzygowicach u Grzesiaków. Mają se pójść i wziąć bo inakże będą u ciebie dospominali.

Tak napisałam jak Grzęda Józef sobie życzył. List i fotografi włożyłam do koperty, ale jej nie zaklejałam. Czekałam co przyniesie rano. Po chwili Grzęda zawołał:

— Szwester, jesteście? Słyszysz jak Muter stawia do okna? Chcąc uczynić żądanie życzenia chorego podeszłam do okna i otworzyłam je zapraszając jego Matkę. Widząc, że Matka nie wchodzi, powiedział:

— Za późno żeś otworzyła. Po chwili znów powiedział:

— Słyszysz jak we drzwi pukają?

Otworzyłam drzwi zapraszając, a gdy Matka nie wchodziła powiedział: za późno żeś otworzyła.

panna Langiewicz mogła wsunąć poduszkę. Gdy ją wsunęłam prawą rękę pod jego obojczyk i spłotłam palce obu rąk by łatwiej było unieść chorego, Grzęda zarzucił mi ręce na szyję i przyciskając mnie z całej siły do swych piersi wołał:

— Muter! Muter, Muter.

Panienci się wystraszyli i zaczęli uciekać. Ręk nie mogłam wyjąć gdyż Grzęda siłą je przyciskał do sennika. Zdołałam zaledwie wykręcić głowę w bok i zawołać by panienci nie uciekali, tylko zdjęły ręce rannego. Panna Feliksa Langiewicz wróciła i zdjęła ręce rannemu. Grzęda już nie żył. Stałam i patrzyłam na zmarłego powstańca. Umysłowiłam sobie, że odebrałam ostatni jego uścisk, który był przeznaczony dla Matki, którą widział w agonii, w godzinie swej śmierci. Ona może śpi w najlepsze i nie wie, że jej syn ostatni uścisk przeznaczony dla niej, Matki, oddał mnie, nieswawolnie zupełnie.

Było mi smutno, że nie mogę pogłębnić tam, gdzie jest jego Matka, że nie mogę powiedzieć jej, że jej syn już nie żyje. Doktor Wagner omylił się tylko o 15 minut. Grzęda zmarł 15 czerwca rano. Był na buzi biały, jego czoło i skronie były pokryte kropkistym potem. Stałam i patrzyłam. Czy Matka Grzędy mogłaby stać i patrzeć na swoje dziecko jak ja teraz stoję? Wzięłam ręcznik, wytarłam pot z czoła i skroni, po czym pochyliłam się

w szpitalu ich łóżka też są po sąsiedzku, przedzielone tylko krzeselkiem.

— Zefliki! Zefliki! — a gdy ten nie odpowiadał zawołał, zwracając się do mnie:

— On fertyg?
— Nie, on śpi.
— A zacoś zakryła go ode mnie?
— By go światło nie raziło.
— A czemuż lampy zdjęła?
— By światło nie padało mu w oczy. Powiedział wtenczas:

— Jo, on fertyg.

Po tych słowach ukrył twarz w dłońiach i płakał mówiąc, że byli kolegami i mieszkali po sąsiedzku tylko przez płot.

Rano przyszedł Wicher Karol, powstaniec Puchynski Luejan, przysłała też Aga Pątyk i Grzęde zabrano ze sali szpitalnej do zakrystii.

Piątego czerwca był pogrzeb. Z kościoła ciałem Grzędy prowadził na cmentarz ksiądz Leonard Stawicki. Szło dużo panów i młodzieży. Niestety dużo wieńców i wianek z żywych kwiatów. Trumna niesiona była na sam cmentarz. Matki ani Ojca na pogrzebie nie było. Nie było też na pogrzebie jego panny Zośki.

W trzy dni po pogrzebie przysłała panna Zośka ze swoim bratem, też powstańcem. Była to średniego wzrostu panienka o ślicznej buzi i pięknych dwóch blond warkoczach, w które wplecione były czarne wstążki. Ubrawa była w białą suknię w czarne grzechy, biały kapelusz płócienny z czarną prześpiaską, białe pończochy i czarne pantofelki. Gdy weszła na salę chorych zapytała drżącym głosem o siostrę, która była przy Józku w chwili jego śmierci.

Podeszłam i powiedziałam:

— To byłam ja.

— To wy pisaliście list do jego Matki?

— Tak, to ja pisałam.

Chciała jeszcze o coś zapytać, lecz słów jej zabrakło. Poprosiłam ją na chwilę do apteki, gdyż pierścienek, który pozostawił dla niej Grzęda dałam na przechowanie panu aptekarzowi Łuckiemu. Byłam osobą przyjeżdżną i mogłam w każdej chwili stąd odejść, a chciałam, by pierścienek doręczony był panie Zośce. W aptece poprosiłam pana aptekarza o pudełeczko z pierścienkiem, które tu zostawiłam. Poprosiłam p. Zosienkę by usiadła na ławeczce i powiedziałam:

— Pani narzeczony prosił, bym to pani doręczyła.

Panna Zosienka wstała z ławeczki i wzięła pudełeczko z mojej ręki. Gdy je otworzyła, pudełeczko wypadło jej z małej rączki, pierścienek potoczył się do jej stóp. A ona usiadła blada i trzęsąc się mówiła:

— Józku! Józku! za tyle żeś ode mnie nie chciał!

Zbladła i byłaby upadła, gdybym jej nie podtrzymała.

Poszłyśmy na grób Grzędy. Choć trzymałam dosyć mocno pannę Zosienkę pod rękę, ona rzuciła się na mogiłę wołając:

— Czemuż nie usłuchała? Czemuż nie poszedł?

Prawie że wyniosłam pannę Zosienkę z cmentarza. Powróciliśmy z powrotem na salę chorych, gdzie panna Zosienka pozostała do wieczora aż się ściemniło i wróciła z bratem na Śląsk.



Fot. Sz. Janos

Podeszłam do stołka i myślałam, jakie to okropne będzie dla Matki dowiedzieć się, że syn jej nie żyje i że go już nigdy nie zobaczy. Nagle Grzęda zawołał:

— Szwester! Ratuj mnie! Przecież widzisz że się duszę. Dałam mu przelknąć lodu. Jego puls prawie że już nie bił. Był bardzo biały. Chciałam mu wsunąć jeszcze jedną poduszkę pod głowę by było wyżej i żeby krew nie napływała mu do gardła. Wsunęłam moje dłonie pod plecy rannego. Jedną z panienek, która dyżurowała razem ze mną, miałam wziąć jego głowę w dłoń i razem z mną nieco unieść, by

i ucałowałam go w czoło. Uściskałam go jak swoją Matkę, więc ucałowałam go od jego Matki.

Teraz między łóżkiem Grzędy a jego kolegi Antkiem Mojskim, z którym byli sąsiadami tylko przez płot, ustawiałam krzeselko na którym zawiesiłam ręcznik. Zdjęłam lampę ze ściany by światło nie padało na Grzęde i postawiłam ją na podłodze. Obudził się powstańca Złotoktos, który był ranny powyżej kolan i zapytał:

— Co, siostrze, skończono?

Odpowiedziałam, że tak. Po chwili obudził się Antek, sąsiad Grzędy z którym mieszkali tylko przez płot. Dziś

dające jej środki na życie. Przysłała więc do mnie z prośbą, abym małżeństwem fikcyjnym utrzymała jej pozycję społeczną, a nade wszystko uznając dziecko za swoje, oszczędził mu upokorzenia, jakie napotykać go będzie w przyszłości. Propozycja ta silnie mnie oburzyła".

(„Pamiętniki, tom III, str. 70)

Trzeba dodać, że Limanowskiego, wówczas wdowca liczącego 73 lata, oburzyło przede wszystkim, że pentka uznała go „za starca, że proponuje mu się jednocześnie i poufałość płciową i jej fikcyjność. W pierwszej chwili chciałem ostro odpowiedzieć przeciwny jestem wszelkiej fikcyjności, a zwłaszcza w stosunku płciowym”. Nie rzekł tego, choć prośbie odmówił. I dobrze się stało, bo oddalony już Zahorski do kraju powrócił.

Uciekł z Barguzina za Bajkałem przy pierwszej nadarzającej się okazji. Pomoc osiadłych na Syberii Polaków — w ubiorze, pieniądzech i dokumentach komiwojażera moskiewskiego — ułatwia mu podróż poprzez Moskwę do Warszawy. Jest druga połowa 1908 roku, ruch rewolucyjny stracił rozmach, partia stara się o utrzymanie organizacji i akcji bojowych. Praca jednak rwie się, szeregi trzębią aresztowania. Unikając ich, okręgowiec Łódzki, S. Andrzej Radek — „Justyn” (później autor paru książek opisujących rewolucję w Polsce), przedziera się do Krakowa. Na opróżnione to miejsce partia kieruje Zahorskiego.

EUGENIUSZ AJNENKIEL

O AUTORZE „ŁODZIANKI” B. LUBICZ-ZAHORSKIM

Poznałem go na konspiracyjnym zebraniu naszej grupy Pogotowia Bojowego PPS, zwołanym w jednym z mieszkań robotniczych. Było to przed samymi świętami Bożego Narodzenia 1917 roku. Po aresztowaniu Aleksandra Rzewskiego, okręgowca PPS w Łodzi, w kierownictwie organizacji powstała luka, zapelniać ją miał właśnie Bolesław Lubicz-Zahorski — „Filip”, przyślany przez Centralny Komitet Robotniczy. W jego życiu był to już trzeci powrót do pracy partyjnej w Łodzi. Znany starym towarzyszom, dla nas, młodych stanowił romantyczny typ Sienkiewiczowskiego Kmicica z okresu walki partyzanckiej, pełnego odwagi i brawury, ale też i reprezentanta „ludzi podziemnych” — rewolucjonistów.

Życie miał ciekawe i burzliwe. Urodził się w powiecie borysowskim ziemii mińskiej, w roku 1885, w rodzinie z dawną osiadłą na roli. Dzieciństwo miał owiane wspomnieniami walk powstańczych 1863 roku i ono kształciło marzenia walki o niepodległość. Już w szkole realnej w Mińsku buntuje się chłopak przeciw rusyfikacji, przeciwstawia się klerykalizmowi łamiącemu swobodę myśli. Trafia do szkolnych kółek socjalistycznych. Po ukończeniu szkoły podejmuje studia na Politechnice Warszawskiej. W tym pełnym zgiełku i konspiracji mieście, w roku 1904 wstępuje do PPS. Ruch rewolucyjny 1905 roku ogarnia go całkowicie, zgłasza się do Organizacji Bojowej PPS, a tu, ze względu na jego przygotowanie politechniczne, skier-

rowany zostaje do zorganizowania ośrodka naprawy i konserwacji broni palnej jak i też do pracy pirotechnicznej. W drugiej połowie 1905 roku partia, biorąc pod uwagę jego znakomitą znajomość języka rosyjskiego, kieruje go do agitacji wśród żołnierzy garnizonu Moskwy. W okresie tej pracy poznał tam Hannę Elzenberżankę, działaczkę prowadzącą nielegalną robotę wśród żołnierzy i robotników. Młodzi, przystojni ludzie, nieustannie balansujący na krawędzi wolności i więzienia, przygnęli do siebie, walcząc ramię w ramię w szeregach rewolucji. Połączyło ich głębokie uczucie osobiste, na zalegalizowanie swego związku nie mieli czasu. Zresztą oboje byli na lewych dokumentach. On na nazwisko Maksymilian Ostensacka. Po upadku zbrojnego grudniowego powstania ludu moskiewskiego, partia wzywa Zahorskiego do Warszawy. Powraca razem z Hanną Elzenberg, meldując się nadal jako Ostensack. Oboje znów czynni w agitacji wśród wojska. W czasie tym, dnia 25. VII. 1906 r. Zahorski zostaje aresztowany. Osadzony na Pawliku, po raz pierwszy próbuje pióra, uczestnicząc w redagowaniu i wydawaniu odręcznie pisanego tygodnika pod tytułem „Stryk”. Po przesłuchaniu w Ochronie skierowany zostaje dnia 29 listopada 1906 roku do X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Liczy sobie lat 21. Jeśli mu udowodnią udział w Organizacji Bojowej PPS, straci życie. Nie doszło jednak do tego. Zandarmeria zrezygnowała z zarzutu przynależności Zahorskiego do

OB PPS, oskarżając go o udział w akcji z ramienia Wojenno-Rewolucyjnej Organizacji, kierowanej przez SDKPiL. Pod tym też zarzutem, jako Maksymilian Ostensack, staje przed sądem wojennym i dnia 28 kwietnia 1907 roku zostaje skazany na 4 lata katorgi w Barguzinie za Bajkałem.

Drogi młodych rozwidają się, Hanna Elzenberg nie może go nawet poznać. Partia kieruje ją poza kordon, do Krakowa. Tam, na Uniwersytecie Jagiellońskim studjuje historię literatury polskiej. Pisze też wiersze, które pod pseudonimem „Savitri” drukuje w prasie partyjnej. Na emigracji — bo tak wówczas nazywano pobyt królewskich w Galicji — w marcu 1907 roku zostaje matką. Jej sytuacja — jako niezamężnej, staje się trudna. Szuka więc wyjścia poprzez praktykowany w konspiracji ślub fikcyjny, ale dokonany na drodze prawnej. Taką propozycję przedstawia seniorowi polskiego ruchu socjalistycznego, Bolesławowi Limanowskiemu, o czym on pisze:

„Miałem wizytę (...) poetki młodej i przystojnej, która zaproponowała mi, ni mniej ni więcej, tylko małżeństwo fikcyjne (...). Pochodziła ze szlachty polskiej na Litwie historycznej (...). Zaczęła opowiadać mi swoje dzieje ze szczerością, jakby przed spowiednikiem (...). Pozycja jej społeczna stała się trudną. Chciałaby mieć dziecko przy sobie, a to jest niemożliwe na stosunki rodzinne i stosunki

Nalozylam helm w ko-
lorze dojrzalej poma-
rańczy i wielkie, gu-
mowe buty. Ruszyliśmy na
teren budowy. Buciska grze-
zły w żółtej mazi błota, no-
gi ciężyły jak ołów.

Żelbetonowy obiekt ko-
tłowni góruje nad pozosta-
łymi budynkami. Wdrapuje-
my się piętro po piętrze,
ogładamy ogromne pojemni-
ki węglowe oraz nowocze-
sne zmechanizowane urzą-
dzenia transportowe.

Tutaj robotnicy będą
mogli pracować w białych
koszulach. Nie grozi im
przebież bezpośredni kon-
takt z węglowym pyłem —
tłumaczy dyrektor Zakła-
dów Przemysłu Wełnianego
w Opcznie, Henryk Lubo-
wiński, wskazując na her-
metyczne urządzenia wycią-
gowe.

Wielki kombinat wełniany
w Opcznie zostanie od-
dany do eksploatacji pod
koniec przyszłego roku. In-
westycję rozpoczęto w 1969 r.
Obecnie wszystkie budynki,
wchodzące w skład kombi-
natu są już pod dachem.
Brygady budowlane montu-
ją wnętrza hal. Instalują
różnego rodzaju urządzenia,
przewody tynkują ściany.

Rodzi się pełnowydzielo-
wy kombinat o zamkniętym
cyklu produkcyjnym — od
przetwarzania przędzy syn-
tetycznej do wyrobu final-
nego. Planowana, roczna
wartość produkcji według
cen zbytu wyniesie około
1,5 miliarda złotych.

Pokazano mi próbki tkan-
nin japońskich z przedz-
teksturowanych, przypomi-
ających w dotyku naj-
przedniejszego gatunku ma-
teriału wełnianego o żywych
zdecydowanych kolorach.
Ten rodzaj tkanin sukien-
kowych i ubraniowych o
wysokich walorach użytko-
wych będzie za półtora ro-
ku produkowany w Opcz-
nie na nowoczesnych ma-
szynach sprowadzonych z
Francji, Włoch, NRF, An-
glii i Czechosłowacji. Kon-
traktacje w sprawie dostaw
tych maszyn trwają. Insta-
lowanie ich w nowym kombi-
nacie rozpocznie się już
na początku przyszłego ro-
ku.

Wykonawstwo robót bu-
dowlanych przebiega bez
większych zakłóceń, a na-
wet z pewnym wyprzedze-
niem przewidzianych termi-
nów. Pozwala to więc na
stawianie optymistycznych
horoskopów w sprawie wła-
ściwego wykorzystania ka-
pitałów dewizowych i nie-
zamrażania kredytów ban-
kowych. Generalnym wy-
konawcą jest Kielecki
Przedsiębiorstwo Budownic-
stwa Przemysłowego, pro-
jektantem zaś — Biuro

K. MAJDA

CEROWACZKI PO MATURZE



Projektów Zakładów Włó-
kienniczych w Łodzi.

Kierownictwo ZPW w
Opcznie, czuwające nad
prawidłowym przebiegiem
budowy i oddaniem kombi-
natu do eksploatacji, w ter-
minie, nie ma zastrzeżeń do
wykonawcy. Padło nato-
miast wiele krytycznych
uwag pod adresem projekt-
antów, Marian Ciesielski,
kierownik działu inspekto-
rów nadzoru, boryka się w
związku z tym z wieloma
trudnościami.

Dzieje się tak dlatego,
że dokumentacja nie jest
dopracowana — powiada —
nie zaprojektowano, na
przykład, otworów w ścia-
nach do przeprowadzenia
instalacji sanitarnych i elek-
trycznych. Nie ma również
zaznaczonych w projekcie

otworów montażowych w
komorze klimatyzacyjnej.
Dokumentację poprawiamy
więc na bieżąco we wła-
snym zakresie, narażając się
na dodatkowe koszty i
zwolnienie tempa robót.

Jeżeli kosztorysy wy-
słaliśmy do poprawienia do
Biura Projektów Zakładów
Włókienniczych, czekamy na
nie miesiącami, bawiac się
w zbędna korespondencje,
przeprowadzając wiele roz-
mów telefonicznych — uzu-
pełnia kierownik działu do-
kumentacji, Teresa Koro-
wajczyk.

W pomieszczeniach, prze-
znaczonych po zakończeniu
budowy na ambulatorium,
urzęduje przeszło dwadzie-
ścia osób, zajmujących się
działalnością organizatorską
nowego kombinatu. Kontro-

lują wykonawstwo robót,
pertraktują w sprawie do-
staw maszyn, zabezpieczają
odpowiednio przeszkolone
kadry.

W akcie erekcyjnym no-
wego kombinatu m. in. czy-
tamy: „... w Opcznie, mie-
ście liczącym 12 tys. miesz-
kańców, wchodzącym w
skład Ziemi Kieleckiej, no-
we Zakłady Przemysłu Weł-
nianego stanowią podwalny
intensywnej rozbudowy tego
miasta i regionu. Nowe
przedsiębiorstwo ma bo-
wiem stworzyć nowoczesne
warunki pracy”.

Słowa aktu erekcyjnego
znajdują realne potwierdze-
nie nie tylko w zarysie no-
woczesnego przedsiębiorstwa,
w pełni zautomatyzowanego,
wyposażonego w komforto-
we obiekty socjalne, ale

również w dokonywającej
się metamorfozie w świa-
domości społeczności tego
miasteczka.

Maturzystki po opoczyń-
skim „ogólniaku” widzą w
nowym przedsiębiorstwie
swoją życiową szansę, ale...
nie w pracy za biurkiem, a
przy maszynie. Ranga bo-
wiem urzędniczej, tak bar-
dzo jeszcze do niedawna ku-
sząca na prowincji, po pro-
stu przestaje być atrakcją.
Nowoczesny przemysł prze-
orał utarte ślaki, którymi
zwykle kroczyli maturzyści
nie dostający się na studia,
wydeptując ścieżki do róż-
nych biur i urzędów.

Aktualnie ponad 80 dzie-
wcząt, legitymujących się
świadectwem dojrzałości Li-
ceum Ogólnokształcącego w
Opcznie, przyuczyło się do
zawodu cerowaczki. Więk-
szość z nich zdała egzamin
kwalifikacyjny z teorii i
praktyki z wynikiem bar-
dzo dobrym i dobrym. W
czasie zdobywania kwalifi-
kacji średni ich zarobek wy-
nosi ponad 800 zł, a w przy-
szłości otrzymają płace prze-
ciętne dwukrotnie wyższe
od pańienek zza biurka.

Każdego dnia do wydzia-
łu kadr napływają nowe
podania od dziewcząt po
maturze ogólnokształcącej,
proszących o skierowanie
do przyuczenia się zawodu
tkaczki, przadki, cerowaczki.
Nim zapadnie decyzja o
przyjęciu, z kandydatkami
na włókienniki rozmawiają
przewodniczący rady zakła-
dowej i dyrektor, informu-
jący o blaskach i cieniach
tego zawodu.

Przychodzi dziewczyna
modnie ubrana, elegancka.
Chce zostać tkaczką, bo ze
studiami nie wyszło. „Nie
będę ubiegala się o ponow-
ne przyjęcie. Wolę iść do
pracy”.

Została przyjęta, egzamin
na cerowaczkę zdała na piąt-
kę. Może więc już teraz za-
wrzeć z kierownictwem u-
mowę na zatrudnienie jej
przez najbliższe 5 lat.

Leży przede mną „opasła”
teczka podań dziewcząt po
maturze. Przeglądam pisma,
szukam motywu dokonania
tego wyboru, biorąc pierw-
sze lepsze z brzegu. Między
innymi czytam: „Zdałam
maturę w 1967 r. Mam trud-
ne w domu warunki. Nie
chcę więc być dłużej na u-
trzymaniu rodziców, ludzkie
się dostaniem na studia.
Pragnę mieć zawód, zarab-
iać”. Inna z kolei dziew-
czyna pisze: „Praca urzęd-
niczej, którą wykonuję od
lipca 1968 r. nie odpowiada
mi. Chciałabym nauczyć się
konkretnego zawodu — np.
tkaczki”.

Wśród dziewcząt wyróż-

niających się dobrymi wy-
nikami w czasie przyuczania
do zawodu tkaczek, cerowa-
czek i przodek są nieuoszkie
studentki Politechniki Łódz-
kiej, Akademii Medycznej i
Uniwersytetu Łódzkiego.
Kwalifikacje zdobywają w
pokrewnym przedsiębior-
stwie o nowoczesnym pro-
filu produkcji ZPW „Tom-
tex”. Przedsiębiorstwo to
mieści się wprawdzie w
województwie łódzkim, ale
niewiele dzieli je kilome-
trów od Opcznie. Codzien-
nie są one więc tu przywo-
żone (i odwożone do domu)
zakładowym autokarem.
ZPW w Opcznie autokar
ten uzyskały z puli CRZZ.

Kombinat w Opcznie po-
siada również swoich sty-
pendystów na PŁ i UL. Wy-
kwalifikowane kadry stano-
wią bowiem nieodzowny
warunek wykorzystania w
nowoczesnym przedsięw-
zięciu w szybkim terminie
pełnych mocy produkcyj-
nych i zwrotu nakładów in-
westycyjnych.

Młodzi pracownicy już te-
raz zabiegają, aby w przed-
siębiorstwie, z którym za-
wierają umowę o pracę na
okres przeciętnie 5 lat, mieć
pełne zabezpieczenie potrzeb
nie tylko socjalnych, ale i
kulturalnych. Napisało więc
zbiorową prośbę do władz,
opatrzoną kilkudziesięcioma
podpisaniami, postulując urzą-
dzenie kawiarni działającej
na zasadach klubu. Czyta-
my w niej m. in.: „Młodzież
zatrudniona w ZPW w O-
pcznie zwraca się z proś-
bą o zorganizowanie ośrodka
kulturalnego, w którym
mieszczałaby się: biblioteka,
czytelnia, sala wykładowa i
kawiarnia. Młodzież przygo-
towująca się do zawodu wy-
kwalifikowanych robotni-
ków — 1200 osób — jest w
większości ze średnim wy-
kształceniem. Poza pracą i
domem nie mamy żadnych
możliwości spędzenia wol-
nego czasu na terenie Opcz-
nie”.

Władze branżowe odnio-
siły się z pełnym zrozumie-
niem do potrzeb młodych
ludzi, przydzielając dodat-
kowo na ten cel ok. 15 mln.
zł. Młodzi fachowcy w Opcz-
nie otrzymają również 3
bloki mieszkaniowe dla 150
rodzin.

Nowoczesny kombinat, za-
pewnione życie kulturalne,
zaspokojone potrzeby so-
cjально-bytowe zacierają róż-
nice między prowincją a o-
środkami wielkoprzemysł-
owymi. Nowe bowiem inwe-
stycje, industrializując ma-
łe miasteczka, mają przebież
niemały wpływ na meta-
morfozę socjologiczną pro-
wincji. Robotnik ze średnim
wykształceniem przestaje
być postacią wyjątkową.

Łódź jest nader trudnym teraz te-
renem. Rządy generała gubernatora
wojennego, Kazankowa, polamały organi-
zacje robotnicze, ludność sterroryzowa-
na i zastraszona sądami wojennymi,
skrzypem szubienicy postawionej na
podwórzu więzienia przy ul. Długiej.
Raz po raz w drodze administracyjnej
wysyłane są grupy działaczy „na Sy-
bir”, mniej ważnych wysiedlano do
miejsce urodzenia (na ogół na wsie),
a tych, którzy jeszcze ośmielali się
strajkować, sprowadzano do cyrkulów
policyjnych, gdzie z rozkazu Kazan-
kowa otrzymywali po 25 nahałek ko-
zackich na odstojone ciało. Szpicle
weszli nocą i dnem, korzystając z po-
mocy administracji fabrycznej, prze-
ważnie Niemców. W takich warunkach
Zahorski nawiązuje porwane areszto-
waniami kontakty. Nie łąda spokój,
opanowanie i odwagę mieć niezało,
aby działać w tych warunkach, kiero-
wać robotą bojową, redagować (i sa-
memu pisać) „Łodzianina” oraz zor-
ganizować druk nielegalnego pisma.
W nim to, na melodię znanej „Warsza-
wianki”, zamieszcza tekst napisanej
przez siebie „Łodzianki”:

Dziś gdy nas gniebią różne Szajblery,
Gdy każdy majster — szpicel i cham,
Gdy utni w pomoc rządu Gayery
Pędzą laknących pracy od bram,
Gdy z Kaznakowem Poznański
w zgodzie,
Gdy razem chłoseczą nędza i bat,
Gdy za ideę w głodzie i chłodzie
Umiera ojciec, siostra i brat

Naprzód, o Łodzi! W krwawej
powodzi
Zerwijmy pęta z gnębionych
mas!
Stąpmy do walki, starzy
i młodzi
Czas pomścić braci poległych,
czas!
(„Łodzianka” 1968)

Działalność Zahorskiego rozrzucała
organizację. Na zjeździe 1969 roku wy-
brany zostaje do Centralnego Wydziału
Organizacyjno-Agitacyjnego. Ale
i to poruszenie organizacji powoduje
wzmocnienie wysiłków policyjnych.
Obreż nacjonki szpicłów zaważa się,
partia musi przzenieść Zahorskiego do
Lublina. Tu, już w listopadzie 1969 r.,
wydaje on numer nielegalnej „Pobud-
ki” i „Czerwonego Sygnału”, organu
partyjnych kolejarzy. Lecz znów żan-
darmeria poczyna mu następować na
pięty. Partia przerzuca go więc do
okręgu częstochowskiego. W Często-
chowie redaguje dwa numery (5 i 6)
pisma „Swit”, drukowane w Krakowie.
Zawiera ślub z Elzenberżanką, lecz ro-
boty partyjne nie porzuca. Spalony
w Częstochowie umieszczony jest w
Kijowie, zatrudniony w tajnej druk-
arni organu centralnego partii „Rob-
otnika”. Ale i w Kijowie długo nie
zagrzewa miejsca. Na ulicy zobaczył
znanego mu z Łodzi szpicla. Nie nara-
zi więc drukarni, nie wraca do niej,
ucieka, tym razem do Galicji. Dopiero
stamtąd, poprzez koła partyjne, po-
wiadamia towarzyszy o konieczności
opuszczenia Kijowa. Ale to dla niego
najwyższy czas. Denerwująca i wy-

czepująca praca wyniszczała i tak
nadmątlony organizm. Dostaje się do
Krakowa, odpoczywa w majątku sym-
patyka partii, dra bakteriologa, Odo
Bujwida. Nie chcąc korzystać z po-
mocy brata, znajdującego się w Kra-
kowie, udaje się do Lwowa i wstępuje
kontynuować przerwane studia poli-
techniczne. Nie na długo jednak. Nie
posiada stałych środków utrzymania.
Jedzie do Borystawia, pracuje jako
robotnik w kopalni nafty. Wstępuje do
szeregów paramilitarnej organizacji
„Strzelca”, współpracuje z grupą mło-
dzieży „Promień”, nie porzuca kon-
taktów z PPS.

Po wybuchu wojny w 1914 roku Za-
horski, pomny na swe marzenia
chłopiące, przywdziewa mundur
Legionów Polskich, wkracza do Królest-
wa w oddziale zwiadowczym. Z ple-
choty przenosi się następnie do pułku
ufanów. W październiku 1914 r. do
Łodzi wkracza zwarta kompania legio-
nistów. W b. gmachu Banku Państwa
na ul. Spacerowej instaluje się Pol-
ska Organizacja Narodowa — cywilny
wyraz dążeń Legionów. Liczy ona na
poruszenie łódzkiej inteligencji i ro-
botników. Rzesze robotnicze zdziesiąt-
kowane mobilizacją i bezrobociem,
stanowią organizację PPS-Lewicy, kie-
rowanej przez Ignacego Grałaka, Leo-
na Purmana i Władysława Hibnera.
Drugą czynną akcję prowadzi grupa
SDKPiL pod przewodnictwem Abła Kapoty.
Obie organizacje są antywojenne, zde-
cydowanie niechętnie witają wystąpie-
nia Legionistów. W cukierni Roszkow-
skiego, Piotrkowska, róg pasaży Ma-

jera, jest aż błękitno od mundurów.
Inteligencji jednak nie pociągają, do
robotników nie trafiają. Do odnowie-
nia kontaktów z tymi ostatnimi odde-
legowany zostaje Bolesław Lubicz-Za-
horski, trafiając na „robotę” do na-
szego miasta po raz drugi. Ledwie
nadażył gdzieś odzłupić stare
kontakty, oddział Legionów, wobec
ofensywy wojsk rosyjskich, dostaje od
komendanta niemieckiego w Łodzi
rozkaz ewakuowania się.

Gdy w Legionach nastąpił tzw. kry-
zys przysięgowy i Niemcy kierują do
obozu jeńców tych, którzy tej przy-
sięgi składali im nie chcą, królewicy
— rejestrowani w Legionach pod ob-
cymi nazwiskami — opuszczają szere-
gi i idą do roboty podziemnej. Po-
większa te szeregi znów Zahorski, jest
w Polskiej Organizacji Wojskowej,
zgłasza się do szeregów powołanego
przez PPS Pogotowia Bojowego (no-
wa forma organizacji bojowej). W
latach 1916—1918 redaguje nielegalne
pisma PPS — siedleckie „Jutro”, kie-
lecki „Czyn” i „Walkę”, współpracuje
w warszawskich pismach „Do czynu”,
„Jutro”, „Jedność Robotnicza”.

Do Łodzi zostaje skierowany po raz
trzeci, po aresztowaniu tamtejszego
okręgowca, rozszerza akcję propagan-
dy, bierze udział w wystąpieniach
ulicznych. Opuszcza miasto po przy-
byciu do niego nowego okręgowca
— „Stefana”, Aleksandra Napiórkow-
skiego.

Zahorski z ramienia POW udaje
się do Mińska, potem do Kijowa. Po
rozbrojeniu Niemców w listopadzie

1918 roku staje w szeregach Wojska
Polskiego, mianowany oficerem, bier-
ze udział w wyprawie gen. Żeligow-
skiego na Wilno. Prowadzi tam pracę
kulturalno-oświatową, następnie na
Łotwie w Polskim Burze Prasowym
jest czynny przy organizowaniu repa-
racji Polaków, wracających z Rosji.
Po zakończeniu działań wojennych
wraca do Warszawy, stabilizuje swe
życie rodzinne, pracuje w Bibliotece
Publicznej jako pomocnik biblioteka-
rza. Oddaje się pracy kulturalno-o-
światowej w stolicy. Jak zawsze przed-
siębiorczy, gdy szklany dach biblioteki
poczyna przeciekać, a woda zalewa
bezcenne zbiory, Zahorski nie czeka
na trudnych do osiągnięcia rzemieślni-
ków, sam stara się wadę naprawić.
Poślizguje się na szkle dachu, spada
i ponosi śmierć. Było to dnia 4 mar-
ca 1922 roku.

Rozproszone swe utwory sygnował
— M. O., M. Osten, B. L., Zygmunt,
Zygmunt Lubicz, Bolesław Lubicz, Bo-
lesław Zahorski.

W roku 1917 w Zameściu wydano
jego utwory w formie książkowej pod
tytułem „Nowele wojenne” i „Pobojow-
wisko”. Natomiast w Mińsku w roku
1919 ukazał się jego zbiorek: „Poezje
wojenne”. Utwory jego poetyckie, za-
mieszcil w swych antologiach Wilhelm
Feldman w roku 1918 i Paweł Hert w
roku 1967.

Zona jego, Hanna Zahorska, poetka
pisząca pod pseudonimem „Savi-
tri”, przeżyła go o lat 20. Zmarła w
obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu
w roku 1942.

My i milion

WSTĘP

Kiedy głęboko przeżywamy fakt, że nie dostaliśmy czterystuzłotowej premii, kiedy z książką telefoniczną w ręku zastanawiamy się, kogo by tu „strzelić” na 500 zł, kiedy w taki lub podobny sposób grzeźniemy sennie w powszedniej codzienności, nie przeczuwamy wcale, że za węglem czyha na nas prawdziwe niebezpieczeństwo. Coś, czemu nie potrafimy stawić czoła. Żyjemy sobie w sposób drobno-troskowy, i ani nam się śni przygotować się na wypadek kataklizmu. A co będzie — pytam — jeśli nagle wpadnie nam w ręce milion? Jeśli umrze nam wujek w Stanach Zjednoczonych i zapisze wielodolarową fortunę? Bezradni będziemy jak dzieci.

Świadom tej grozy chciałbym poniżej dać kilka przykładów i ostrzeżeń. Niech status życiowy milionera nie będzie nam zupełnie obcy.

ROZDZIAŁ I

ZOSIA WYCHODZI ZA MILIONERA

Wieczera miała się już ku końcowi, kiedy podeszła do mnie pani domu i powiedziała: „Słyszałeś? Zosia wychodzi za milionera”. „Tak?” zdziwiłem się uprzejmie. I po ciepłym pożegnaniu opuściłem gościnny dom. Dopiero na ulicy, po przejściu 150 metrów poczułem się tak, jakby we mnie piorun trzasł. „Jak to? Zosia? Za milionera? Wychodzi?” I nagle uświadomiłem sobie, jak głębokie są konsekwencje tej decyzji.

Za urodę Zosi nie dałbym 100 zł, a cóż dopiero milion, intelekt Zosi wyceniam na jeszcze mniej. No, a tu proszę — milioner. I — oczywiście — milion. Zosia należy do kobiet dużych, liczne przesady fizyczne rozpięają tu i ówdzie jej ciuchowe kiecki. No i co z tego? — pomyślałem. Czy milioner nie ma prawa gustować w przesadach? Ma takie samo prawo jak każdy inny człowiek. Więc dobrze, ten problem mamy z głowy, złapmy się za sahego milionera.

Po pierwsze — jaki on? Dewizowy czy złotówkowy? Obydwa warianty mają sporo wad.

Jeśli złotówkowy — to albo badylarz, albo laureat Tofolotka. Jeśli badylarz to pół biedy, bo pewnie zagoni Zosię do roboty i Zosia schudnie, ale jeśli totolotkiewicz — to jest zupełnie niedobrze. Wbrew bowiem rozlicznym reklamom totka surowe artykuły prasowe jasno stwierdzają: każdy, komu przypadła główna wygrana, rzucał pracę, popadał w przesadny alkoholizm, degenerował się moralnie tak dalece, że w końcu wracał do swojej dawnej pracy. Ohyda. Jaka Zosia jest, taka jest, ale przecież nie można jej żywić tyłu nieszczęść.

Milionerzy dolarowi są mniej różni. Piją mniej, do pracy nie wracają, bo nie pracują z zasady i z natury rzeczy.

Po prostu zarabiają ten milion na rok, albo na miesiąc, wiążą jakoś koniec z końcem i są mniej-więcej normalni. No tak, ale wyjście Zosi za dolarowca grozi dość poważnymi konsekwencjami moralnymi. bo Zosia może łatwo zasmakować w amerykańskim stylu życia, który jest jednak mocno kiczowaty i co gorsze — może utyć. Niewykluczone również, że się Zosi zamarzy występowanie w Las Vegas i własnoręczne pisanie tekstów do piosenek. Też okropne.

Tak to sobie, proszę państwa, rozważałem idąc wieczorną ulicą. Rozważałem i w końcu nie wiem: dobrze to czy źle, że Zosia wychodzi za milionera?

Wydaje mi się jednak, że warto się zastanowić nad tym ogólnym zjawiskiem.



Rys. Leszek Woźnicki

ROZDZIAŁ II

JAK WYJŚĆ ZA MILIONERA

Wychodzenie za milionera nie jest — jak wykazują doświadczenia i literatura fachowa — czynnością trudniejszą od wychodzenia za zwykłego człowieka, który atoli nie chce, abyśmy za niego wyszli. Możemy jednak w obu wypadkach dopiąć swego. Stosunkowo najmniej skomplikowaną, choć wymagającą dłuższego czasu jest metoda żmudnej cierpliwości. Nie zdarzyło się jeszcze, aby obiekt naszego zainteresowania nie uległ długotrwałemu szturmowi. Zrobi to, ponieważ po prostu będzie się chciał od nas odcepić, co jak wiadomo najłatwiejsze jest w małżeństwie. Rozpatrując rzecz w tym kontekście łatwo dojdziemy do

wniosku, że wychodzenie za milionera jest jeszcze prostsze niż wychodzenie za zwykłego człowieka. Grają tu rolę dwa aspekty i dwie możliwości:

1° jeśli milioner jest człowiekiem młodym, to na pewno nie doszedł do majątku drogą jako-taką uczciwą. W związku z tym nasze narzucanie się będzie uważał za symptom tego, że coś wiemy o jego machinacjach i na wszelki wypadek ożeni się z nami. W tym stanie bowiem będzie się czuł bezpieczny, bo wiedział będzie, że jeśli nawet zabawimy się w skarżypytów — to wyłącznie w stosunku do najbliższej rodziny.

2° jeśli milioner jest człowiekiem leciwym, to jednocześnie jest także zmęczony zdobywaniem miliona i samym faktem posiadania go. I wtedy już go mamy: ożeni się z nami szybko, zaraz potem wyśle nas do Miami Bich lub do Juraty i będzie mógł odetchnąć z ulgą.

Osiągnięcie więc celu nie jest wcale trudne, jakby na pozór mogło wyglądać — oczywiście jeśli mamy już poza sobą sam okres wypatrywania milionera. Trudności mogą się zacząć nieco później, przy samym uroczystym akcie. Milionerzy, jak wiadomo, mają różne kaprysy: a to żeń się z nimi w Notre-Dame, a to w wiejskim kościółku w Przyglupiu Dużym, zadnego umiaru ani opamiętania. Jeśli akt ten odbywał się będzie w Przyglupiu, to gościmi będą prości, siermiężni ludzie, którzy swą sympatię do nas wyraża szczypaniem nas w pośladki i waleniem po plecach. Jeśli zaś w Katedrze Notre-Dame, to oczywiście znajdziemy się w gronie samych milionerów. Ci, w długich opowieściach o tym jak doszli do milionów dadzą nam odzwać, że jesteśmy parweniuszami, a będzie nam przykre, w dodatku możemy wtedy stwierdzić, że jednak nie wyszliśmy za tego milionera, za którego wyjść by należało.

W sumie więc nie wygląda to wcale tak wesoło i w związku z tym należałoby się zastanowić nad następnym zagadnieniem.

ROZDZIAŁ III

JAK NIE WYCHODZIĆ ZA MILIONERA

Za milionera można nie wychodzić:

- a) zdecydowanie
- b) wymijająco

Jako ludzie prostego i szczerzego serca jesteśmy zdecydowanie za wariantem zdecydowania. Kiedy mamy już milionera sparterowanego (tzn. na kolanach, u naszych stóp) spoglądamy mu w oczy ku nam wzniesione i odpowiadamy krótko, po męsku i twardo: „nie”. Na wszelkie prośby, modlitwy, błagania i żądania wyjaśnienia odpowiadamy równie stanowczo: „po prostu, nie”, „dlatego, że nie”. Nie mówimy broń Boże, nie takiego, co by nasunęło milionerowi pomysł, że milion to dla nas zbyt mało. W ogóle nie wdajemy się w takie dyskusje. Pozycja kłęcząca jest na dłuższą metę dość niewygodna, więc każdy człowiek, nawet milioner po pewnym czasie wstanie, likwidując tym samym sytuację oświadczeniową. Musimy, oczywiście, liczyć się z ewentualnością, że po takim ciosie milioner może wpaść w złe towarzystwo, rozpic się lub zgłoś rozpocząć działalność charytatywną, co prowadzi do roztrwonienia fortuny. Ale, w gruncie rzeczy, nie mamy żadnego interesu w hodowaniu milionerów.

Wyjście wymijające jest powszechnie znane z innych układów, w których zdarza się nam czasami znaleźć. Do spraw przyszłości, przeszłości i teraźniejszości, które mieszamy w nasze wykrety, można tu jeszcze dodać sprawy finansowe: fakt, że nie lubimy pieniędzy i że nie jesteśmy przyzwyczajeni do dobrobytu. Przynajmniej jedna część tego twierdzenia będzie tzw. świętą prawdą.

KONKLUZJA

Zdajemy sobie sprawę, że kontakty — bliższe i dalsze — z milionerami nastroją sporo kłopotów. Stąd właśnie poradniczy charakter niniejszych rozważań. Ale mimo to jesteśmy skłonni sądzić, że na co dzień spotykamy się z kłopotami znacznie poważniejszymi. I tak być powinno.

IGOR SIKIRYCKI

Przed portretem królowej Tamary

Chmurna Tamar,
luk brwi twoich
nieopatrnie strzaly miodal.
Cóż zawinił Rustawell,
twój pokorny sluga, Szota?

Jakże mógł nie kochać ciebie,
twej jak Gruzja pięknej twarzy,
ten co nawet nad przepaściami
cień nadziei zauważył?

Jakże mógł przejść obojętnie
obok jezior twoich oczu
ten co ogień z dna wulkanu
w swoim sercu nagle poczuł?

Jakże mógł nie pragnąć chłodu
wysokiego twego czoła
ten co idąc twoim śladem
przez pustynię przebrnąć zdołał?

Jakże mógł on nie pożądać
twoich dumnych ust na własność,
kiedy one to sprawiły,
że przed świtem nie mógł zasnąć?

Jakże mógł powstrzymać dłonie,
by nie musnąć kos twych kruczycy
ten co gwiazd dotykał piórem
i słowika śpiewać uczył?

A tyś za to odpłaciła
nierozważną gniewu strzałą
i zraniłaś taką miłość,
której zabić się nie dało.

Chmurna Tamar,
luk brwi twoich
nieopatrnie strzaly miodal.
Cóż zawinił ci ten młodzian,
nieśmiertelny Witeż Szota?!



KONRAD FREJDLICH

Elegia

dedykowana el

błąkam się przesiekami w zaroślach powietrza
co ledwie odgarnięte zacina po krtani
twój oddech wiewiórką
za listowiem ciemnym
przeczail się jak w dziupli w półotwartych ustach
teraz zdradza cię tylko szelest rzes wstrzymany
cichszy niż lustra mgielką powleczone zmarłych
a my przecież żyjemy
więc idąc rozwalam
sarkofagi ciosane z uschniętego wiatru
ty bo znowu umykasz w ziół odległych napor
co się sący powoli z łąk rozbitych pater
a to pot jest zaledwie wilgotności tyle
w ud rozwarciu tajemnym parowu cieniistość
ty drżysz otulona ciemnym zapachem sosen
powstrzymuję się całe igliwie odgarnąć
bo kiedy jestem blisko to już ociemniały
smagłość twojej skóry po oczach zmrużonych
teraz wiem już że wzięłaś z elegii początek
ale gdybym cię nawet nazwać nie potrafił
to bym z ikon wyszarpnął gdy czekasz w półmroku
pod werniksem ślepnącym od pożądlivosti



HYBRIDA
PANA KORKOZOWICZA

Kazimierz Korkoźowicz *) znany i popularny autor wielu powieści kryminalnych i szpiegowskich, przedstawia się ostatnio czytelnikom jako nowator literacki. Wykorzystał mianowicie zdobycze współczesnej wiedzy biologiczno-medycznej, zwłaszcza w dziedzinie krzyżowania gatunków oraz łączenia części różnych organizmów metodą przeszczepów — i zastosował je do działalności pisarskiej. Jego ostatnie dwie książki — niedawno wydana „Przybica i kaptury”, szczególnie zaś najnowsza (kontynuacja fabuły z poprzedniej powieści) „Nagie ostrza” stanowią niezwykle interesującą próbę połączenia w jedno wielu rozmaitych rodzajów literackich.

Kanwą, na której autor dokonuje tej próby, są dwie formy: powieść przygodowo-sensacyjna i powieść historyczna. Do tego dodany został wątek szpiegowski, jako że osnowę akcji stanowią zmagania dwu wywiadów — polskiego i krzyżackiego — w okresie przedgrunwaldzkim i w czasie samej wojny. Dalej występuje wątek polityczny, obejmujący obraz skomplikowanych zabiegów dyplomatycznych, a nawet próby zabójstw politycznych (zamach na Jagiellę, w rezultacie skierowany na Witolda). Mamy także wątek erotyczny nawet ze scenami gwałtu (oczywiście ze strony bandytów będących na krzyżackim żołdzie, na szczęście nieudanego. Autor nie zapomina oczywiście i o swoich upodobaniach do literatury kryminalnej, zapożyczając bohaterów powieści w umiejętność stosowania typowych instrumentów detektywistycznych, służących do trafnego rozwiązania zagadki.

Tak powstała hybryda literacka stanowiąca z pewnością wydarzenie edytorskie i jest chyba pierwszym tego rodzaju utworem polskiego

pisarza. Należy się więc wyrazić uznanie dla autora za podjęty trud i dla wydawcy za udostępnienie książki czytelnikom. Tym ostatnim też należy się szacunek, jeśli po przeczytaniu powieści docenią awangardowość tego dzieła, któremu na imię — embarras de richesses.

NFP

*) Kazimierz Korkoźowicz: „Nagie ostrza”. Wydawnictwo MON 1970.

WSPOMNIENIA
T. BREZY

Kto chce się uczyć dobrej sztuki pisania, winien czytać to, co napisał Tadeusz Breza. A właśnie ukazał się *) „Nelly. O kolegach i o sobie”. Część tych materiałów drukowana była w zbiorze „Notatnik literacki”, dużo jest jednak rzeczy nowych, dotychczas w książkach nie publikowanych. Szczególnie cenne w zbiorze T. Brezy są jego wspomnienia o pisarzach polskich i obcych, m. in. o Zofii Nałkowskiej i Jerzym Zawieyskim oraz o Paul Cazinie i Salvatore Quasimodo. Książka podzielona jest na pięć części i układa się w swolisty życiorys pisarza i dyplomaty (Breza, jak wiadomo, był radcą ambasady polskiej w Rzymie i Paryżu). T. Breza dysponuje rozległą wiedzą i przednim talentem pisarskim. Przy tym nie echemuje go erudycyjne natęczenie. O wielu ważnych sprawach pisze jakby mimochodem, jakby okazjonalnie, bez nadmiernego dostojeństwa. A przecież czuje się, że autor wie znacznie więcej, niż zdecydował się napisać. Niektórzy twierdzą, iż w tym tkwi istota pisarstwa.

Uroku dodaje książce poczucie humoru tej autora, który potrafi tu i ówdzie (ale zawsze w miejscu nieomylnym) blyśnąć znakomitą anegdotą, przypomnieniem, powiedzonkiem. Słowem: „Nelly”, choć należy do tzw. książek paraliterackich, jest pozycją w dorobku T. Brezy znaczącą. Jest to książka, do której można wracać i cieszyć się jej rozlicznymi walorami.

JK.

*) Tadeusz Breza: „Nelly. O kolegach i o sobie”. Czytelnik, Warszawa 1970 r.

JAN KOPROWSKI

POWIEŚĆ O SFRUSTROWANYM BOHATERZE

Jerzy Wawrzak należy do młodych, ale już nie najmłodszych pisarzy (ur. w 1936 r.). Tym jednak różni się od wielu swoich rówieśników, że, po pierwsze, ukończył studia (politechnikę w Częstochowie), a po drugie, że po ukończeniu ich nie podążył do wielkiego miasta, aby wieść tam kawiarniany tryb życia, lecz osiedlił się koło Wielunia, gdzie do tej pory pracuje jako dyrektor POM. Wydał dwa zbiorki wierszy („Asocjacje” i „Luminiscencje”), dwie powieści o tematyce hutniczej („Okolica moich przyjaciół” i „Nim podpała niebo”), a wreszcie „Rekomendacje” i „Nietutejszego”, w których wykorzystał swoją wiedzę o wsi i ludziach tam pracujących. „Nietutejszy” jest jego powieścią najnowszą i nią pragnę zajmą się w mojej recenzji. Książka składa się z trzech części: „Noc w hotelu” (robotniczym), „Granica bez strażu”, „Młodowy miesiąc”. Dwie pierwsze części są jakby przygotowaniem do tego, co rozegra się w części ostatniej — najobszerniejszej objętościowo i najważniejszej z punktu widzenia zamiaru autorskiego.

Rzecz zaczyna się interesująco. Bohater „Nietutejszego”, Zbigniew Materski, pędzi swoim autem, uwożąc w nim nowo poślubioną żonę Joannę i swoje wspomnienia. Raz po raz zapuszcza się pamięcią w przeszłość, aby przeżyć swoją młodość, studia, młodzieńcze romanse. Jest to więc część retrospektywna, z której dowiadujemy się, że Materski był działaczem ZMP, człowiekiem zaangażowanym w pracę społeczną, energicznym i lubianym, ale po przemianach październikowych w Polsce stracił wiarę, nie należy już do żadnej partii, nie działa, czuje się zawiedziony, sfrustrowany itd. Aby wyrwać się z tego stanu, jedzie z Joanną do wsi rodzinnej, w której spędził dzieciństwo — Aleksandrii, w nadziei, że u brata swego ojca i jego rodziny odnajdzie klucz do wrót raju utraconego

go. W części drugiej autor opisuje lata okupacyjne swego bohatera, spędzone w Aleksandrii, skąd jako chłopiec wyjechał po wojnie do miasta H. (Domyślamy się, że jest to Częstochowa). Z tej części dowiadujemy się, że między jego ojcem a stryjem istniał w przeszłości jakiś poważny konflikt, który doprowadził do zerwania i wyjazdu ojca, podczas gdy stryj pozostał na wsi i do dziś orze tam swoją ziemię. Obraz okupacji w Aleksandrii, widziany oczyma dziecka, nie wnosi do naszej wiedzy o okupacji nic szczególnie nowego, zresztą nie było to zamiarem autora. Chodziło mu po prostu o mocne obrysowanie rodowodu bohatera, Zbigniewa Materskiego, aby tym wyraźniej ujawniła się jego późniejsza sytuacja.

Część trzecia, podstawowa dla powieści, rozgrywająca się współcześnie, zawiera próbę pokazania, czym żyje wieś dzisiejsza, jakie nurtują ludzi sprawy, konflikty i problemy. Oczywiście wszystko to, widziane z perspektywy Zbigniewa Materskiego, inżyniera, doktora nauk technicznych, który chętnie się temu przypatruje, bierze udział w tym, czym żyją stryj, jego rodzina i cała wieś, wchodzi w nowe znajomości, odnawia stare z dzieciństwa, ale przecież nie potrafi tak naprawdę niczym się przejąć. Uzupelnia swoją wiedzę o konflikcie stryja z ojcem, przeżywa jakieś uniesienie na widok synowej stryja czyli żony swego stryjecznego brata, Józefa, weźmie udział w zabawie ludowej, w partyce brydza u dyrektora POM, w jednym lub drugim pijafistwie i w licznych rozmowach z ludźmi. Doprowadzi wreszcie do tego, że do stryja przyjadą jego rodzice, aby dokonać ostatecznego pomiedzy nimi pojednania. I właśnie w chwili, kiedy Zbigniew jedzie wozem na stację po przybywających do Aleksandrii rodziców, przydarza mu się wypadek, z którego wyjdzie jednak cało, ratując przy tym troje dzieci.

Tak, z grubsza biorąc, przedstawia się zarys fabularny powieści Jerzego Wawrzaka „Nietutejszy”, o człowieku sfrustrowanym, który wszędzie czuje się nietutejszy, ale który jest dostatecznie młody, aby dążyć do przezwyciężenia kryzysu, w jaki popadł, nawiązać kontakt z rzeczywistością i stać się znowu aktywnym członkiem społeczności ludzkiej. Mamy nadzieję, zamykając książkę, że tak się właśnie stanie.

Jerzy Wawrzak napisał rzecz ciekawą, godną uwagi i zainteresowania. Zna swój temat i posiada już pewne umiejętności warsztatowe. Jego powieść dotyczy istotnych spraw naszego czasu, a nie błąka się po nie znaczących marginesach. Wawrzak potrafi w paru zdaniach uchwycić istotę pejzażu, stworzyć nastrój, czy zarysować wydarzenie. Gorzej udają mu się dialogi. Są one za mało zróżnicowane, a jednocześnie jest ich stanowczo za dużo. Prawie o wszystkim dowiadujemy się z rozmów, wskutek czego akcja powieści cierpi na niedostatek dramatyzmu. Miałbym też trochę uwag na temat języka. Sprawność pisarską Wawrzaka zakłóca niejednolita materia stylistyczna, nadmiar tego, co by można nazwać żargonem dziennikarsko-publicystycznym, miejscami zaś — wielosłowie, które rozrzedza a nie kondensuje zamierzone przez autora sytuacje. I jeszcze jedno: nadmiar komentarzy, uogólnień. Czasami byłoby dobrze czegoś nie dopowiedzieć, nie postawić owej przyszłowiej kropki nad „!”. Nie określał nigdy zbyt dosadnie, sam czytelnik z napomkniętą skrytą treść odgadnie.

Mimo wszystko książkę Jerzego Wawrzaka czyta się z zalekawieniem, co jest jego niewątpliwym sukcesem.

Jerzy Wawrzak: „Nietutejszy”, Wydawnictwo Łódzkie, str. 278, r. 1970.



Przeszłość i terażniejszość

Historykowi kultury nie może być obca problematyka społecznej recepcji i funkcji literatury w przeszłości. Dlatego też przed kilku miesiącami — dokładnie w połowie listopada ubiegłego roku — poświęciłem cały felieton pięknej książce Janiny Kamionkowej o życiu literackim w Polsce w pierwszej połowie XIX wieku. Dziś powracam do tych spraw przy okazji, którą stworzyło ukazanie się niemal jednocześnie i to w tym samym wydawnictwie — w Państwowym Instytucie Wydawniczym — dwóch książek. Pierwszą z nich jest monografia Marii Straszewskiej „Życie literackie Wielkiej Emigracji we Francji 1831—1840”, druga wyszła spod pióra Janiny Kulczyckiej-Saloni i nosi tytuł: „Życie literackie Warszawy w latach 1864—1892”; obie ukazały się wprawdzie z datą 1970, ale w roku bieżącym. W porównaniu z książką J. Kamionkowej wydaje się, że obie publikacje zostaną ujęte w sposób

znacznie bardziej tradycyjny. Nie chodzi tu o socjologiczne problemy kultury literackiej klas średnich, o analizę publiczności literackiej i inne zagadnienia, subtelnie rozważane przez J. Kamionkową. Cel zarówno M. Straszewskiej jak J. Kulczyckiej-Saloni jest węższy: chodzi im o rekonstrukcję tego, co lepiej by może było nazwać środowiskami literackimi — w pierwszym wypadku polskiego Paryża w pierwszych latach Wielkiej Emigracji, w drugim Warszawy w dobie ofensywy pozytywizmu. Ta część problematyki tzw. życia literackiego, która w ambitnej książce J. Kamionkowej została wysunięta na plan pierwszy, tu ukrywa się bezpiecznie na drugim, na czoło zaś wysuwają się informacje — często o charakterze faktograficznym — o poszczególnych pisarzach, ich warunkach życia i twórczości, o środowiskach w których żyli i tworzyli, drukarniach, księgarniach, prasie, krytyce literackiej i tak

dalej. Obie autorki dały nam więc nie tyle jakieś nowatorskie w swej metodologicznej koncepcji studia, otwierające nowe horyzonty badawcze, ale bogate w treść i wielce użyteczne „summy” wiedzy o środowiskach literackich, których znaczenia nie trzeba chyba nikomu wyjaśniać. Złe to czy dobre? Zależy od punktu widzenia: inaczej

też coś dla siebie znajdzie.

Książka M. Straszewskiej przynosi bardzo wiele materiału informacyjnego, zebranego nad wyraz skrzętnie z prasy krajowej i zagranicznej, odkopanego w stosach materiałów archiwalnych z archiwami francuskimi na czele. Godne jest szczególnej pochwały dążenie autorki do wykro-

sząc się o udziwnianie: autorka wprowadziła do nauki nie znane dotąd informacje. Czy jednak podobnie wypadłoby ocenić książkę o życiu literackim Warszawy? Mam co do tego sporo wątpliwości. W ostatnich latach przekopałem się przez wiele materiałów źródłowych dotyczących świata literackiego i naukowego pozytywistycznej Warszawy, znam dawniejsze prace autorki, zwłaszcza te które dotyczą problematyki warszawskiej krytyki literackiej i przyznam otwarcie — w książce tej znalazłem bardzo niewiele nowego w stosunku do tego, co już dawniej powiedziała ona w swych pracach. Ale czyż nie było celem zastrzeżonego historyka literatury podsumowanie naszej wiedzy o warszawskim środowisku literackim bardziej, jak jej rozszerzanie?

Swoją drogą wciąż się zastanawiam, dlaczego wśród licznych wznowień książek, dotyczących tego jakże ważnego okresu w dziejach naszej kultury, brakuje wciąż edycji dziełka Walerego Przyborowskiego. Doczekaliśmy się ostatnio wznowienia kapitalnego „Towarzystwa Warszawskiego” Antoniego Zaleskiego, może więc przy-

dzie czas i na Przyborowskiego. Myślę tu o jego wydanej anonimowo w Petersburgu w 1897 roku książeczce, liczącej sobie tylko 214 stron niewielkiego formatu, a zatytułowanej „Stara i młoda prasa. Przyczynek do historii literatury ojczyźnej (1866—1872). Kartki ze wspomnień eks-dziennikarza”. Jest to napisana z pasją i znajomością rzeczy panorama warszawskiego środowiska literackiego i naukowego w okresie pozytywizmu, dziełko przesycone atmosferą plotki, nie pozbawione stronniczości autora, który sam o sobie pisał, że „był chłopcem bardzo ładnym”: „twarz o rysach polskich, nosie rzymskim, wielkich, niebieskich, trochę rozmarzonych oczach, uderzała swą łagodnością i ujmującym wdziękiem”. Nie na tym koniec: skromny autor pisał dalej o sobie: „Talent był duży, łatwość pisania wielka...” Przypnieć się więc godzi, że mógłby Przyborowski być zaiste wzorem dla wszystkich literackich anonimów, którym polecam go jako model wszelakiej skromności.

JÓZEF GRZELAK

Paryż - Warszawa

czytać będzie obie książki badacz dziejów literatury czy kultury, inaczej student przygotowujący się do egzaminu bądź przystępujący do pisania pracy magisterskiej. Drugi znajdzie w obu dziełach kompetentną informację o świecie, w którym żyli i tworzyli jego bohaterowie; pierwszy przetrzeć kartki szybko, w poszukiwaniu nie znanych mu fak-

to, i niechybnie zawsze też coś dla siebie znajdzie. Książka M. Straszewskiej przynosi bardzo wiele materiału informacyjnego, zebranego nad wyraz skrzętnie z prasy krajowej i zagranicznej, odkopanego w stosach materiałów archiwalnych z archiwami francuskimi na czele. Godne jest szczególnej pochwały dążenie autorki do wykro-

Tak więc morału o władzy, jej blaskach i cieniach ciąg dalszy. „DOBROCZYŃCA” Ireneusza Iredyńskiego jest najbardziej dosłownym akordem „dialogu” łódzkich teatrów z publicznością w tym zimowo-wiosennym „seriale”.

ROMAN LOBODA

Potrzeba takiego diafogu jest rzeczą naturalną, jest jedną z najważniejszych funkcji teatru. Wówczas teatr wydaje się żywy i współczesny, gdy podejmuje próbę dialogu poprzez odpowiedni dobór repertuaru, nie zapominając równocześnie, że czegokolwiek by ten dialog dotyczył — miłości, klęski, przemijania, władzy — musi być prowadzony w języku sztuki — jej walor jest nosicielem treści zawartych w dialogu.

Dramat władzy rozgrywany na scenie ma swoje rozległe i głębokie tradycje. Już starożytni... przepaszam, ten sakramentalny wstęp przesładuje mnie od jakiegoś czasu... Ale proszę pomyśleć, „Prometeusz w okowach” Ajkschylosa, „ojca tragedii” europejskiej, toż to dramat władzy: — Na tronie boga bogów zasiadł Zeus, pokonawszy swego ojca, Kronosa i strąciwszy w otchłań pótomstwo Tytanów. Do zwycięstwa walnie

„Dobroczyńca”

i
koniec
delicji



Jerzy Przybylski — Feliks i Halina Pawłowicz — Pani
Fot. Fr. Myszkowski

przyczynił się Prometeusz, syn Temidy, lecz później powodowany miłością do ludzi, boską tajemnicę ognia im zdradził, w ten sposób otwierając przed śmiertelnymi nowe horyzonty... —

Z „Dobroczyńca” było zgola inaczej; on nie „powodował się” miłością do ludzi, on chciał wymusić ich miłość do siebie, gardząc nimi. Miłość. Dziwne to słowo w tym kontekście, niemniej jednak bierne posłuszeństwo i bezkrytyczne uwielbienie, chociażby i było nie szczere, może wystarczyć ludziom zapatrzonemu we własną wielkość.

Tak więc nienowe to zagadnienia w sztuce, niekiedy zaś z ogromną głębią i tragizmem wykreowane, że jakby prawdziwsze niż prawda. Dopiero to prawdziwsze daje wielowymiarowość rzeczy, wielowymiarowość tragedii i szczęścia, czego my, ograniczeni jednostkowym odczuciem i subiektywną refleksją, na ogół nie zauważamy. Błysk jasnowidzenia, to zderzenie wielu mocy i ich wyładowanie w nas. Takie echa wyładowań, albo rezonanse wyładowań wywołuje w nas sztuka. Nieśmiertelność Szekspira to ilość mocy

tragicznych i sprzecznych spraw ludzkich, które wiązał w sobie, podporządkowywał i nadawał im wielokrotny głos prawdy nieostrzeganej w rozdrobieniu. Szekspirowska tragedia władzy dotyczy jej samej przede wszystkim. Wspanialszych wzorców nie znam, a przecież „Caligula” Camusa i wiele innych, a nawet grana w Łodzi „Śmierć Dantona” — to nie plaskie, okolicznościowe obrazki.

Pomimo wielu słabości „Dobroczyńca” ma i pozytyw, które skłaniają do tak rozległych asocjacji. Nie jest to bowiem w zasadzie dramat władzy, jest to dramat podporządkowanych władzy, lub jeszcze inaczej — dramat ludzi, gromady ludzi, wielu ludzi, których wady, narowy i nawyki prowokują niejako, sugerują i ukierunkowują formy penetracji i kształtu władzy. W dramacie Iredyńskiego ślepcy rekompensują swoje kalectwo brutalnością i bezwzględnością wobec także upośledzonego, bo chorego na raka, Feliksa. Gdy jednak okazuje się, że rak Feliksa jest bluffem, że skierowały go do nich nie te „normalne”, ale zgola inne, obce, a zatem „wyższe” racje — ogarnia ich strach, zmieniają się; pogardę i bezwzględność zastępuje służalczość, pokora i udany podziw dla tyrańca.

Tyran zna naturę ludzką, w jego rachunek, według Iredyńskiego, ta natura jest w kalkulowaną w strategię i taktykę postępowania. Odrzucali jego dobroć, gardzili nim. Jeżeli nawet Iredyński pragnął ukazać mechanizmy władzy, która przekształca się w tragedię tyranii, to przecież w negatywie ukazał mechanizmy, które władzę w tyranii przekształcają. Bo czymże jest dobroć dla tych ludzi, którzy nie są wprawdzie jednakowi, lecz jednakowo za słabość ją mają. Gdy „Pani” go zabierze, to jaki nowy władca będzie im dobry?

Dramat Iredyńskiego został udostępniony teatrom bodajże przed rokiem, wszedł do repertuaru Teatru Powszechnego Jesienią 1970 r. Domniemana, czy dokomponowana ponadczasowość jest zbyt wątpliwa, żeby zagłuszyć wydzwięk psychologiczno-socjologiczny środowiska, w którym działa Feliks.

Trudno zatem już dziś osądzić wymiar historyczny sztuki. Czy doraźność obserwacji i stwierdzeń w ogólnej ocenie czasu nabierze wielowymiarowości? Tymczasem metafizyczny finał — sugerujący uogólnienie, że „Dobroczyńca” to odwieczny tyran niewiadomo skąd przychodzący — nie ma potwierdzenia w rzeczywistości logicznej utworu, a także w prapremiery łódzkiej. Silniej bowiem narzuca się bardziej przerażająca teza, że moralne oblicze zbiorowości, jej kryteria etyczne, prywatna i zakłamanie, to pożywka jak najbardziej sprzyjająca, a nawet prowokująca tyranie. Dalszy stąd wniosek, że każda władza, która apeluje do rozsądku, zakłada prawidłowość norm etycznych w współzyciu, pragnie uczynić najszlachetniej-

sze cechy ludzkie dla jej osobistego i zaborowego dobra, „w ten sposób otwierając przed śmiertelnymi nowe horyzonty” — czyż może być autorytetem dla większości ludzi, których ukazuje Iredyński. Mało, prawdaż działania wobec nich skwitują pogardą i poczytają za słabość.

Morał sztuki: sprzężenie zwrotne: „Dobroczyńca” kiadzie się na historii smugą nieprawości ludzkich, nieprawości ludzkie przywołują „Dobroczyńcę”.

Na szczęście sztuka często, a w jej liczbie i utworze Iredyńskiego, ma skłonność do przesady, uwidacznia wyolbrzymając, podkreśla deformując; dla nauki to czyniąc niekiedy i dla pożytku z przeszłości.

Reżyser, Mirosław Szonert, zrobił, po licznych korektach i retuszach, przedstawienie zwarte i w miarę czytelne. Niestety nie uzyskał szerokiego wymiaru tragedii ludzkiej, którego również nie ma w tekście.

Zywiość przedstawienia w dużej mierze jest zasługą wykonawców.

Jerzy Przybylski, jak zwykle, dał dowód rozumienia tekstu, a także tego, co nazywamy podtekstem. Umiał połączyć realizm z ironiczną mistycyzacją założeni. Feliks był i żywy i irracjonalny. Również Tadeusz Sabara i Czesław Przybyła (w roli Rumbi) nadali swej roli właściwy wyraz, interpretując ją jednak nieco odmiennie w zewnętrznej warstwie. Leon Niemczyk w roli Komika jest rzeczywiście „komiczny” w brutalności i zastrachaniu. Ryszard Sobolewski w tej samej roli jest mniej brutalny, ale bardziej płochliwy. Włodzimierz Skoczylas (Wdowiec), Bogdan Wiśniewski (Korzeń) i Janusz Kubiński (Laluś) stworzyli wyraziste postacie, chociaż wszystkie role w „Dobroczyńcy” są zbudowane przez autora bardziej dla uzasadnienia założonej tezy, niż z autentycznego autonomizmu psychicznego. Stąd raczej słaby rysunek ról kobiecych i słaby ich wyraz sceniczny, w czym nie ma winy pań: Jadwigi Siennickiej (Dziewica), Marii Wawszczyk (Jablusko), Janiny Borońskiej (Lala), Haliny Pawłowicz (Pani) i Krystyny Froelich (Bubu).

Niewątpliwą zasługą teatru jest odwaga podjęcia prób nad kontrowersyjną sztuką współczesnego polskiego autora. Interpretacja reżyserska Mirosława Szonerta szła w kierunku wyeksponowania ponadczasowości utworu.



SEKSUALIZM U MŁODZIEŻY

Materiał jest obfity. Przebadanych zostało przez lekarzy, psychologów i socjologów 300 robotnic i robotników i prawie jedna trzecia młodzieży szkolnej i akademickiej z kilku największych miast Niemieckiej Republiki Federalnej.

Pytania są liczne. Ankietowani odpowiadają na sto kilkadziesiąt pytań. Zwierają się ze swych pierwszych doświadczeń seksualnych.

„To było po śniacach, w drodze powrotnej do domu. W aucie. W lesie. Byłam wtedy zbyt młoda — mówi ankietowana, która pierwszy coitus

miała w wieku lat szesnastu. — Uparł się na mnie. W przeciwnym przypadku musiałabym wracać na plechotę”. Inna, która swe pierwsze doświadczenia miłosne zdobyła mając 20 lat, wyznaje: „On mi zawsze powtarzał, że chyba go nie kocham, jeżeli tego nie uczynię. No, więc zrobiłam to”.

Młodzież szkolna opowiada o swych przeżyciach seksualnych bez żenady, nie ma też w tym względzie na ogół zastrzeżeń moralnych. Dlaczego uprawia stosunki seksualne? „Bo to jest zabawne”, albo „zaspokaja picelowo”, albo „ma się potem chęć do następnego razu”. Spo-

śród badanych tylko co czterem dziewczynom i co dwudziestu piątym chłopcom mają coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

„Kiedy się razem chodzi przez trzy czwarte roku — opowiada pewna dziewczyna — to wreszcie się ulega. Pragnie się potem jeszcze. To całkiem naturalne. Rzadko można się przed tym obronić. Pragnie się tego szczególnie wtedy, gdy się zauważy, że on to lubi”. Inna dziewczyna tak opisuje swoje pierwsze przeżycie seksualne: „Byliśmy najpierw w kinie. Potem u niego. Rozmawialiśmy bardzo pięknie i długo. Powiedział, że powinniśmy spędzić z nim noc. Początkowo nie chciałam, ale potem uznałam to za całkiem naturalne”.

Lekarze, psychologowie i socjologowie z hamburskiego Instytutu Badań Seksualnych są bardzo dociekliwi. — Kiedy pierwsze spotkanie, samowolne, pocałunek, pierwszy stosunek seksualny? Gdzie, kiedy, jak często, z kim? Pytają o pieśczęty. Czy w pieszczołce jest coś bierna czy aktywna? Czy stosujecie środki antykoncepcyjne? Jak? Gdzie spółkowałyście? A czy stosujecie coitus interruptus? Ankieterzy pytają młodzież o poglądy na swobodę życia seksualnego, wierność i

niewierność kochanków i małżonków.

I wreszcie pierwsze, dość rezerwacyjne zdaniem badaczy wyniki na podstawie skrupulatnie opracowanych ankiet — oto w ciągu ostatnich czterech do sześciu lat seksualne problemy młodzieży w NRF zmieniły się jak nigdy przedtem w ciągu naszego stulecia.

Większość dziewcząt i chłopców prowadzi znacznie wcześnie i znacznie intensywnie życie seksualne niż jeszcze kilka lat temu. Kto dziś z dziewcząt lub chłopców jest szesnastolatkiem (ką), nie znajdzie już raczej małżonki (ka), która (y) nie miałaby (nie miałaby) już przedtem stosunku seksualnego. Ale czy przyszła żona żyła przed ślubem z kimś innym, nie jest to na ogół dla dzisiejszego chłopca ważne. Tylko cztery procent ankietowanych chłopców jest zdania, że ich przyszła żona „w żadnym przypadku nie powinna mieć przedtem stosunku seksualnego z kimś innym”. 32 proc. ankietowanych życzy sobie nawet, by ich małżonka miała przed ślubem doświadczenie w tym zakresie. A dziewczęta? Dwie trzecie dziewczyn pragnie mieć męża doświadczającego w dziedzinie seksualnych przeżyć.

Przed ukończeniem 17 lat życia 35 proc. chłopców ma już za sobą pierwszy w życiu coitus, a spośród dziewcząt w tym wieku 30 proc. miało stosunek przynajmniej jeden raz.

Dane porównawcze wskazują na to, że w roku 1966 20- i 21-letni studenci nie byli w sprawach seksualnych tak doświadczeni, jak dzisiaj doświadczeni są 16- i 17-letni. Jeszcze wyraźniej widać ten wcześniejszy rozwój życia seksualnego młodzieży, jeśli się porównuje doświadczenia szesnasto- i siedemnastolatków z roku 1966 z doświadczeniami ich rówieśników z roku 1970.

W roku 1966 tylko 7 chłopców na 100 spółkowało przed 17 rokiem życia, a więc wówczas pięciokrotnie mniej niż obecnie, a spośród dziewcząt tego samego wieku tylko 2 dziewczyny na sto w roku 1966 miało już coitus, a więc piętnaście razy mniej niż dzisiaj.

Dziesiątki ksiązek przeznaczonych dla młodzieży w celach wychowawczych, a traktujących o życiu seksualnym — stały się nieaktualne. Opierały się bowiem na ankietach sprzed 4 lat, w ciągu których nastąpiło znaczne przyspieszenie wcześniejszego życia picelowego młodzieży.

POLONICA

MALRAUX
O GEN. DE GAULLE

Wielkie wrażenie wywarła we Francji nowa książka Andre Malraux pt. „Les chenes qu'on abat”, poświęcona generałowi de Gaulle. Przy tej okazji przytoczył Malraux w telewizyjnym wyjątku z arcyeloquentnej rozmowy, odbytej przez siebie z gen. de Gaulle, 11. XII 1969. Na przykład: „Znalazłem się wobec prawdziwego wroga, który mnie zawsze zwalczał. Nie była to ani prawica, ani lewica, ani pieniądz. Referendum nie dotyczyło, w gruncie rzeczy, ani regionów, ani Senatu. Chodziło o udział robotników w dochodach przedsiębiorstw”. Malraux dodaje uwagę następującą: „Gen. de Gaulle uważał, że jego konflikt z kapitalizmem trwał bez przerwy. Sądzę, że miał rację. Nie przypuszczam, w okresie, gdy znajdował się u steru rządów, potęgi pieniądza go uwielbiał”. Zdaniem Malraux nie chodziło tu o jakiś antykapitalizm. „Nie przypuszczam, by generał zbyt dokładnie znał pisma Marksa. Ale myśli, iż własność kolektywna umacnia państwo, nie była mu niemiła”. Na pytanie reporterki telewizyjnej czy de Gaulle miał „obsesję śmierci”, Malraux odpowiedział: „Obsesja nie jest tu słowem właściwym, gdyż był absolutnym panem swej myśli. Raczej przejęty był sprawą Francji. Śmierć stała się przedmiotem refleksji z powodu pisanych wtedy jego Pamiętników”.

Na pytanie, czy Malraux był zafascynowany de Gaullem, pisarz odpowiedział, że nie jest skłonny do takich stanów. Po prostu de Gaulle był w jego oczach — uosobieniem Historii. Zdaniem Malraux historia ta nabiera coraz większego przyspieszenia. „Można sobie wyobrazić dialog Ramzesisa II z Napoleonem na temat odpowiedzialności mężów stanu, ponieważ ich problemy były podobne”. Natomiast trudniej pomyśleć o dialogu między Napoleonem a politykami współczesnymi. Malraux jest optymistą i nie wyklucza, że w ciągu najbliższego stulecia ludzkość będzie mogła dokonać równie wielkiego skoku w dziedzinie intelektualnej, jak się to już stało na polu techniki. W. N.

POLONICA

TERESA WOJCIECHOWSKA

SZTUKA I TECHNIKA

Przypadkowo dostało się do moich rąk wydawnictwo, którego nie rozpowszechnia się szerzej, wychodzi w ilości 300 egzemplarzy i pozostaje w gmachu, w którym zostało wydane. Mówię o Informatorze Teatru Wielkiego w Łodzi, powielaczowym biuletynie, na którym napisano, że jest przeznaczony „do użytku służbowego”. Biuletyn ten pomyślany jest wprawdzie na użytek wewnętrzny i pracownicy Teatru Wielkiego znajdują tu wiele informacji interesujących tylko ich, nie mogą jednak powstrzymać się od zacytowania pewnych danych, które zaciękały mnie, myślę więc, że będą ciekawe i dla czytelników.

Informator, jako wydawnictwo półroczne, podsumowuje taki właśnie okres czasu jego wydarzenia artystyczne, realizację programowo-repertuarowych zamierzeń, donosi o załatwieniu spraw socjalnych i bytowych pracowników Teatru, podaje sprawozdania z działalności rad i komisji istniejących na terenie placówki i tak dalej i dalej.

Jest o czym pisać. Teatr Wielki to machina potężna, zatrudniająca 836 pracowników etatowych i 129 w niepełnym wymiarze godzin. A więc prawie 1000 osób. W liczbie 836 etatowych pracowników mieści się 320 artystycznych i 323 technicznych. Ten stosunek liczbowy nie świadczy jednak o dominacji techniki nad sztuką. Raczej o tym, jak wielką rolę spełnia dziś technika w przygotowaniu dzieła sztuki i jak jej służebna rola wpływa na kształt artystyczny tego dzieła. Za efektywnymi podjazdami z głębi sceny, za wylatującymi się z niebios aniołami czy złymi duchami zapadającymi się w czeluście

piekielne, kryje się wysoka technika jednej z najnowocześniejszych scen w kraju, kryje się wysiłek pracowników technicznych, nigdy na scenie nie widzianych. Zresztą, wysoka technika w Teatrze to nie tylko urządzenia sceniczne. To również dziesiątki urządzeń działających dla wygody i bezpieczeństwa artystów. A także widzów.

I chyba już konsekwencja tego co wyżej — jest następna informacja. Przy Teatrze Wielkim istnieje Komisja oceny projektów wypracowanych i racjonalizatorskich. Na razie jedyna tego rodzaju komisja przyteatralna Powstała w lutym 1970 roku, a już styczniowy biuletyn z bieżącego roku donosi,

że Komisja rozpatrzyła siedem wniosków pracowników Teatru Wielkiego Sześć skierowała do realizacji, jeden — do szczegółowego i kompletnego opracowania. Zastosowanie tych wynalazków przyniosło Teatrowi około 400 tysięcy złotych oszczędności.

Ostatni Informator poświęca sporo miejsca kontaktom Teatru Wielkiego z zagranicą. Do 1970 roku występowało tu gościnnie 12 solistów z ZSRR, USA, Belgii i Rumunii, wystąpiło również dziewięć zespołów reprezentujących ZSRR, USA, NRD, Belgię, Francję i Kubę. W realizacji łódzkich przedstawień uczestniczyli trzej zagraniczni reżyserzy i jeden scenograf.

Dane dotyczące solistów są już w tej chwili nieaktualne, liczba gości jest większa. Niedawno bawiło w Łodzi dwoje śpiewaków bułgarskich: Ana Angielowa — sopran dramatyczny i Iwan Dimow — tenor. Wystąpili gościnnie w przedstawieniu „Aidy”, Angielowa jako Amneris, Dimow jako Radames. Partię tytułową śpiewała Jadwiga Pietraszkiewicz. Nie tylko dzięki tym trojgu solistom było to piękne przedstawienie. W trzy i pół miesiąca od premiery dojrzało ono, dotarło się, nie tracąc nic ze świeżości. Pięknie brzmiały chóry i orkiestra prowadzona przez Zygmunta Latoszewskiego. Ana Angielowa, solistka Państwowej Opery w Rousse, studiowała pod kierunkiem znakomitych pedagogów, między innymi w La Scali i wiele z tych studiów wyniosła. To co

trzeba u niej podziwiać przede wszystkim, to wspaniała szkoła, znakomita technika, umiejętność operowania głosem jak najprecyzyjniejszym instrumentem. Piękne piana stanowiły wykładniki muzikalności artystki i szkoły jaką posiadała. Iwan Dimow, dysponujący nośnym tenorem bohaterskim, ma za sobą również studia w La Scali i występy zagraniczne. Jednak Dimowa, śpiewającego zresztą doskonale, nie cechuje już taka kultura wokalna jak jego koleżankę. Nadużywa nieco olbrzymiej siły swego głosu, aktorsko był równie sztywny jak wielu naszych tenorów — amantów.

Choć miało być tylko o gościach zagranicznych, nie mogę odmówić sobie wymienienia kilku uwag o Jadwidze Pietraszkiewicz jako Aidzie. Artystka sprawiła tu prawdziwą aktorską niespodziankę. Była to aktorsko najlepsza z widzianych przeze mnie w Łodzi Aid. Rolę poprowadziła bardzo dynamicznie i sugestywnie, w pierwszej części przedstawienia tworząc postać uległej, pokornej niewolnicy, która swą dumę i królewską godność ujawnia dopiero w drugiej części. Również wokalnie poprowadziła partię konsekwentnie i czysto, prezentując wiele bardzo pięknych momentów.

I tak sobie słuchając tego przedstawienia myślałam, że nie mamy powodu do kompleksów. O czym z przyjemnością donoszę 1.113.565 widzom, a nawet więcej, bo jest to liczba na koniec 1970 roku.



Fot. W. Parys



„Faraon” — akt I.

Fot. Fr. Myszkowski

— 56 proc. chłopców i 73 proc. dziewcząt sądzi, że młodzi, którzy się kochają, powinni być sobie wierni,

— 30 proc. chłopców i 21 proc. dziewcząt jest zdania, że oboje powinni godzić się na to, by każde z nich, jeśli tylko tego zapragnie, mogło mieć stosunek seksualny z inną partnerką (rem),

— 13 proc. chłopców i 6 proc. dziewcząt odpowiada: „Tak, przysięgają sobie wierność, ale kiedy trafia im się okazja, zdradzają”.

A poglądy na wierność w małżeństwie?

— za bezwzględną wiernością w małżeństwie wypowiada się 68 proc. chłopców i 79 proc. dziewcząt. (W roku 1966 za taką wiernością opowiadało się 56 proc. chłopców i 73 proc. dziewcząt — pod tym względem zwiększyły się obecnie wymagania),

— nie wymaga wierności w małżeństwie ani od siebie ani od partnerki (ra) 11 proc. chłopców i 7 proc. dziewcząt.

— za wiernością z wyjątkami jest 21 proc. chłopców i 15 proc. dziewcząt.

Wielu młodych ludzi żyje tak jak małżeństwa, choć bez formalnego ślubu. Tyczy się to w większym stopniu środowisk

robotniczych niż szkolnych czy studenckich. Jest to jakby małżeństwo na próbę lub przygotowanie do późniejszego formalnego założenia rodziny. Nie przeszkadza to jednak faktom, że zarówno wśród robotników i robotnic jak i młodzieży szkolnej czy studenckiej, dochodzi do zmiany partnera (rki). Tylko jedna czwarta chłopców i ponad połowa dziewcząt żyje seksualnie z jednym partnerem.

Jakie są przyczyny wcześniejszego i intensywniejszego życia seksualnego?

Badacze formułują je ostrożnie. Niewątpliwie jedną z ważnych przyczyn jest rozpowszechnienie środków antykoncepcyjnych, a więc brak lęku przed ciążą. Warto jednak zauważyć, że ponad połowa dziewcząt nadal boi się zająć w ciąży podczas stosunku. W jakim stopniu przyczyną rozwoju życia seksualnego młodzieży jest jej ogólny liberalizm, atakowanie tradycyjnych instytucji i pojęć? Na to, badacze nie potrafili odpowiedzieć. Zwracają natomiast uwagę na inne fakty bezsporne. Otóż gdyby dzisiaj Jan Sebastian Bach organizował chór chłopięcy, dobierając aly i sopran, miałby duże trudności z ustaleniem wieku

chłopców przed mutacją głosu. Przed wiekami dojrzałość fizyczna chłopca, przejawiająca się właśnie mutacją, występowała na ogół w wieku lat 18. Jeśli chodzi o kobiety to dysponujemy badaniami z Austrii jeszcze z XVII wieku. Otóż dziewczęta austriackie w tamtych czasach rzadko miały miesiączkować przed 17, 18 a nawet 20 rokiem życia. Dziś w wielu częściach świata dziewczęta mają pierwszy okres w wieku lat dwunastu i pół. Chłopcy zaś przechodzą mutację głosu w 13 roku życia. To gwałtowne przyspieszenie dojrzewania seksualnego zaobserwowano zwłaszcza w ciągu naszego stulecia. Zaznacza się przy tym u młodzieży nie tylko wcześniejsze dojrzewanie płciowe lecz dojrzewanie całego organizmu. Na przełomie XIX i XX wieku młody człowiek osiągał pełnię swego fizycznego rozwoju dopiero w 20 roku swego życia. Dziś przed upływem lat 17 lub 18 młodzież jest już w pełni ukształtowana fizycznie. Wcześniej też zostaje dziś zakończony proces wzrostu. Jest charakterystyczne, że młodzież, jakkolwiek w szybszym czasie dojrzewa, jest wyższa niż niegdyś. I tak absolwenci uniwersytetu harwardzkiego, urodzeni w roku 1858

mają dzieci, które są od nich wyższe średnio o trzy centymetry. Wydaje się też pewne, że w każdym dziesięciu lat młodzież jest średnio wyższa o jeden centymetr. Dziś dzieci przerażają swych rodziców dosłownie o głowę.

Przyczyny tych wszystkich zjawisk nie są jeszcze w pełni wytłumaczone, ale wydaje się, że wpłynęło na to lepsze odżywianie młodzieży oraz różnorodność wrażeń, co działa stymulująco na mózg, system nerwowy i rozwój hormonów. Lekarze i psychologowie stwierdzają ponadto, że obecnie młodzież dojrzewa szybciej nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Tak więc wcześniejsze i intensywniejsze życie seksualne młodzieży tłumaczyłoby się po prostu i przede wszystkim jej wcześniejszym dojrzewaniem, zarówno fizycznym jak i psychicznym.

Zagadnienie to nie znalazło jeszcze odbicia w ustawodawstwie NRF. Opracowany materiał ankietowy, przygotowany przez Hamburgski Instytut Badań Seksualnych, ma też m. in. posłużyć przy pracach nad reformą prawa seksualnego w NRF.

Opr. J. Sk.

PWSSP ZA GRANICĄ

Zachodniemieckie pismo kobiece „Fuer Sie” we Frankfurcie, organizuje każdego roku pod patronatem Międzynarodowego Związku Wytwórców Tkanin, konkurs „Młoda moda Europy”. W konkursie tym uczestniczą uczelnie, projektujące ubiory. Do ostatniego konkursu, po raz pierwszy, została zaproszona Polska, a jej reprezentantką była oczywiście Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi. Wszystkie ekipy konkursowe otrzymały od organizatorów tkaniny i jednokolorowe zadanie: odzież sportowa, wieczorowa i letnia. Warunkiem konkursu było, aby modele zaprojektowali i wykonali studenci. Do konkursu stanęło 14 europejskich uczelni, m. in. angielska, belgijska, francuska, holenderska, włoska itd. Mimo tak silnej konkurencji łódzka szkoła zdobyła czwartą nagrodę za całość kolekcji, zostawiając w tyle na przykład Francuzów. Autorkami polskiej kolekcji były studentki PWSSP w Łodzi: I. Aksamiłowska, M. Karasińska, E. Kubiak, A. Kubik i M. Stawińska.

Wprawdzie konkurs ten odbył się w listopadzie ubiegłego roku, ale jako sukces łódzki nie został u nas odnotowany, a wspomnieć dziś jest okazja, bo niedawno nadszedł z Frankfurtu medal dla uczelni oraz wróciła kolekcja. Po zamknięciu konkursu uczestniczyła ona w wystawie i pokazach, które oglądali przedstawiciele największych europejskich domów mody. I jest jeszcze jedyną okazją, by o tym napisać: po frankfurckim sukcesie, łódzka PWSSP została zaproszona, wśród 10 szkół projektowania przemysłowego, do Wiednia na obchody 25-lecia szkoły Hetzendorf. Każda z zaproszonych uczelni, otrzymała do opracowania 10 tematów odzieżowych. Modele te będą prezentowane na rewii mody w ratuszu wiedeńskim. Impreza odbędzie się w czerwcu. Zaproszenie przyjazdu otrzymało pięciu studentów i dwóch pedagogów. Miejmy nadzieję, że Ministerstwo Kultury zezwoli tym razem na wyjazd takiej właśnie ekipy. Niestety, bowiem do Frankfurtu wyjechały tylko dwie osoby: rektor uczelni i młodka. A naprawdę szkoda okazji pozwalającej i pedagogom i studentom w zorientowaniu się i zapoznaniu z tym, co się w europejskim projektowaniu odzieży dzieje, co robią i jak pracują inne uczelnie tego typu.

Sukcesy naszej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych cieszą tym bardziej, że uczelnią w dalszym ciągu pracuje w bardzo złych warunkach lokalowych, dodatkowo zaś znajduje się w stadium reformy struktury organizacyjnej, jak zresztą inne wyższe uczelnie w kraju. Reforma tej uczelni pójdzie w kierunku dalszego zacieśnienia więzów z przemysłem lekkim i jego potrzebami. W ramach tej reformy, w miejsce dwóch dotychczasowych wydziałów: Tkaniny i Ubiory, powstanie jeden — Wydział Projektowania Przemysłowego. Ponadto powstanie kierunek nowy: Wydział Grafiki Użytkowej. Kultuwując tradycyjną grafikę artystyczną, kierunek ten będzie jednocześnie zajmował się takimi funkcjami grafiki, jak humanizacja miejsca pracy, informacja wizualna itd.

Przewiduje się też powołanie do życia Instytutu — placówki naukowej, której zadaniem będzie opracowywanie i rozwiązywanie problemów wskazywanych przez przemysł lekki. Zagadnieniami tymi zajmować się będą pracownicy nauki Instytutu.

Składając Szkole gratulacje z powodu już osiągniętych sukcesów i życząc dalszych — trzeba mieć na myśli przede wszystkim chyba szybką budowę nowego gmachu uczelni. Bo już czas najwyższy skończyć z podziwami dla heroicznych wysiłków artystów, którzy kształcą i młodzieży, która kształci się w ciasnych i ciemnych pomieszczeniach.

(tw)

ANEKS DO NASZYCH CZASÓW

W niespokojnych i trudnych czasach, w jakich przyszło nam żyć, na twórcach ciąży to szczególne posłannictwo, którego wagę czujemy szczególnie wtedy, kiedy o artyście musimy mówić już w czasie przeszłym. Ale przecież indywidualna wrażliwość przenikliwego widzenia tego, co mamy co dzień wokół siebie, a czego — choć dostrzegamy — nie potrafimy często nazwać, wyodrębnić, określić — ta wrażliwość dana była Jerzemu Krawczykowi w mierze imponująco wielkiej. I choć dzieło Krawczyka jest już zakończone i nie powiększy się o najdrobniejszy bodaj obraz, to spuścizna, którą po sobie Krawczyk zostawił stawia go w rzędzie najwybitniejszych twórców połowy XX w.

Sztuka Jerzego Krawczyka — sztuka znacząca — rozkwitła w gruncie rzeczy w drugiej połowie lat 50 i osiągnęła swoje wielkie apogeum w latach sześćdziesiątych, przynosząc w roku 1969 — roku śmierci artysty — piękną i przejrzystą klarowność. Jednocześnie twórczość artysty przeszła wiele etapów, z których każdy starczyłby niejednemu za płon całego życia; u Krawczyka był tylko fragmentem drogi twórczej.

Była to twórczość zrazu oschła, oszczędna — malarstwo programowo ubogie. To pejzaże łódzkie — kalekie i przeraźliwie smutne; to pejzaże wiejskie z jakąś statycznie uległą deformacją linii krajobrazowych. Jest w tych obrazach szczególnie pietyzm, aby nie naruszyć purystycznej formy; aby w ten zaskakujący sposób potęgować napięcie u odbiorcy.

Potem — około 1958 roku — sztuka Krawczyka zaznaczyła się nagłym zaostreniem: form ekspresyjnych, z dramatycznym wydobyciem sylwetki ludzkiej z jakby przyciasnej ramy. Widząc choćby takie obrazy jak „Quasimodo” czy „Gruby Jurek” — trudno je potem zapomnieć. Ale człowiek w tych obrazach — to egzystencjalnie zagubiony twórca swego losu, bezradny wobec determinujących

go praw. Stąd zamiast głowy — pusty czerep czaszki, stąd głowa w portretach staje się jakimś tragicznym ciężarem. To, oczywiście, symbole. Ale — jak się to dzieje również w obrazie „Miejsce na ziemi — urodziny” — jest to symbolizm czysty, odarty z tradycyjnej i skodyfikowanej już w naszej sztuce symboliki. Najlepiej widać to w świetnym cyklu „Hiszpania”, stanowiącym wyzwanie i oskarżenie fałszu, zbrodni, nietolerancji. Jednocześnie zaznaczają się w tych obrazach cechy, które w latach późniejszych uformował artysta w swoistą ideę. W „Hiszpanii” jest to rozkład twarzy inkwizytora i iluzjonistycznie namalowane ślady rozkładu powierzchni obrazu i rozkład „deski” pożeranej przez korniki. Jest to więc jednocześnie tworzenie treści autorskiej w rzeczywistości kreowanej i jednocześnie malowanie „tworzywa” pomyślanego jako swego rodzaju formalna ikonografia obrazu. Z tą chwilą artysta — zarzucając ekspresjonizm formy i zaprzestając odwoływać się do emocji jednoznacznych — rozpoczął tworzenie oryginalnej wizji dualizmu malarskiego opartego o świadomą i prowokacyjną ambivalencję. Stąd też ta twórczość, która w latach 60 zaskakiwał zdumioną publiczność pod różnymi szerokościami geograficznymi, posiada — poza całą bogatą i wieloznaczną atmosferą — wymowę persyflaży.

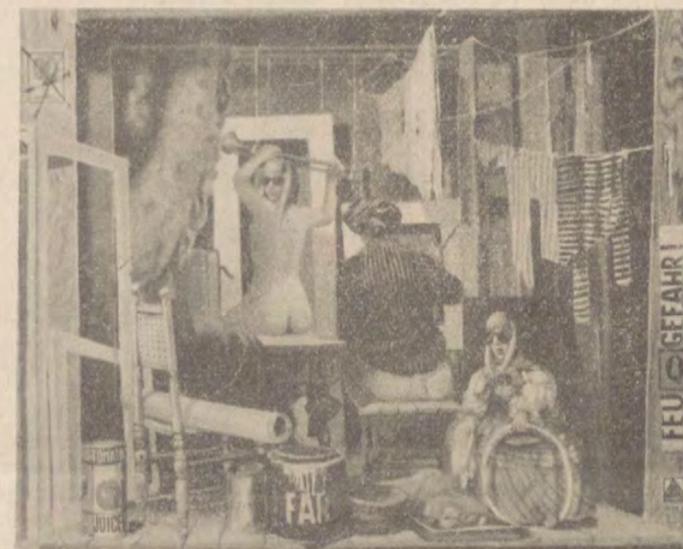
Relatywizm, sarkazm, ironia i permanentny pastisz łączy się u Krawczyka z wielką pasją i z demaskatorstwem obnażającym te cechy ludzkie, które zazwyczaj są najbardziej skrywane. Szycząc z mistyfikacji ten pełen pasji artysta nie oszczędzał i siebie. Autoportret — karikaturalnie ocieźlała twarz, przedstawiana najczęściej jako żółtkna fotografia pojawia się często w otoczeniu ośmieszającym i ironicznym jako element kompozycji.

Krawczyk — wiedzieliśmy o tym przecież jeszcze przed wystawą retrospektywną — nie był twórcą jednego tematu. Wielowatkowy i wielotematyczny dorobek tego artysty — niczym jakaś

było „pożyczką”, cytatem z rzeczy już gotowych, istniejących w sztuce i w rekwiizytorii codzienności, a co — w samej formie — stanowiło artystyczną multiplikację nowego. Relatywizm w sztuce Krawczyka jest posunięty tak daleko, że w chaosie motywów, cytatów, wątków, tematów i aluzji gubi się — gubi zamierzenie — wartość idei autorskiej. Dlatego też nie ma w sztuce Krawczyka żadnej hierarchii ani chronologii; wszystko jest fałszem, iluzją i jednocześnie jest prawdą; wszystko dzieje się wczoraj i dziś. „Dziewczeta z Avignon”, „Dama z chłopczykiem”, „Teo, nie blaznuj” — tytuły raczej wyrwykowe — są ilustracją tej zwichrowanej, sarkastycznej ideologii twórczej.

Relatywizm, sarkazm, ironia i permanentny pastisz łączy się u Krawczyka z wielką pasją i z demaskatorstwem obnażającym te cechy ludzkie, które zazwyczaj są najbardziej skrywane. Szycząc z mistyfikacji ten pełen pasji artysta nie oszczędzał i siebie. Autoportret — karikaturalnie ocieźlała twarz, przedstawiana najczęściej jako żółtkna fotografia pojawia się często w otoczeniu ośmieszającym i ironicznym jako element kompozycji.

Krawczyk — wiedzieliśmy o tym przecież jeszcze przed wystawą retrospektywną — nie był twórcą jednego tematu. Wielowatkowy i wielotematyczny dorobek tego artysty — niczym jakaś



Jerzy Krawczyk — „Pracownia” — 1966, Olej.

Krawczyk — malarz o talencie historiozofa naszej cywilizacji — widział dwuznaczność malarstwa jako spuścizny historycznej ukształtowanej przez wieki kultury. Łącząc podziw wobec najlepszych dzieł dawnych mistrzów z doświadczeniem człowieka i artysty współczesnego, stworzył Krawczyk fenomen obrazu będącego jednocześnie kreowanym faktem i opisem, komentarzem odautorskim i rezultatem czysto warsztatowej emocji towarzyszącej malowaniu. Stworzył coś, co — jak precyzyjnie określiła Urszula Czartoryska — stało się „malarstwem o malarstwie”. Artysta w sztuce Krawczyka jest więc twórcą i odtwórcą, zwierciadłem cudzych wizji plastycznych oraz przedmiotów dnia codziennego i wizjonerem nowej „własnej” sztuki. Mówiąc o nowej wizji nielatwo jest tu wskazać co

gigantyczna mozaika — układa się jednak w logiczną całość. Jest to całość w chaosie — bo taka jest nasza cywilizacja i taką miarą jest mierzona nasza wspaniała kultura, której zwodnicze piękno tak umiał Krawczyk podziwiać, że aż potrafił nim pogardzić. Jest więc sztuka Krawczyka pomnikiem wystawionym kulturze. Pomnikiem mądrym, bo wystawionym na miarę możliwości jednostki. Ale przede wszystkim sztuka ta jest najbardziej ostrym aneksem do otaczającej ją rzeczywistości jaki może złożyć artysta.

JERZY KRAWCZYK — malarstwo. Późniejsza wystawa retrospektywna, marzec 1971. Ośrodek Propagandy Sztuki w Łodzi: — kwiecień 1971 „Zachęta” w Warszawie.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

W „SKLEPIE Z MODELKAMI” spotykamy naszą znajomą — Anouk Aimee czyli Lolę z dawnego filmu Jacquesa Demy. Fotografie, które ogląda Lola w swym albumie, przypominają lata, w których czekała w Nantes na ojca swego dziecka. Dziś, w Los Angeles porzucona przez tego, kogo kochała, pozując do zdjęć zarabia na powrót do Francji. Jest taka jak była, lecz bardziej smutna. W Nantes wierzyla w miłość, dziś się jej boi, ucieka przed nią. „Lola” była pełną wiary w miłość liryczną komedią. „Sklep z modelkami” to liryczna przypowieść o życiu, w którym nie ma już miejsca na miłość stałą, lecz na spotkania i rozstania. W owych spotkaniach jest czas na otwarcie duszy, ulotną chwilę wary, moment mobilizacji do nowego życia, lecz jedynie świadome rozstanie pozwala tym wrażeniom trwać nadal.

Jest „Sklep z modelkami” smutną i ładną opowieścią miłosną, nie jest jednakże wyłącznie filmowym romansem. W tej historii spotkania ludzi, którzy nie wierzą w miłość, szukają jej jednakże, jedna, poza liryzmem opowieści, cenić trzeba jeszcze. Bohaterowie filmu tkwią w samym życiu, ich historię określa realia miejsc i czasów, w których żyją.

Jacquesa Demy po jego „Parasolkach z Cherbourg” i „Panienkach z Rochefort” nazwano najbardziej amerykańskim z europejskich reżyserów, choć filmy te, niewątpliwie inspirowane hollywoodzkim musicaliem, nasycał konwencjami francuskiej tradycji obyczajowej i kulturalnej. Demy realizując „Sklep z modelkami” w Hollywood, nie podporządkował się jednak obowiązującym w nim regułom gry. Zupełnie nieoczekiwanie jego film, który można by potraktować wyłącznie jako historię miłosną, stał się świetnym wizerunkiem Ameryki z końca lat 60. W swej opowieści miłosnej Demy stosował ton przyciszony i dyskretny, w tej samej tonacji ukazuje życie w Los Angeles, w którym historia ta się dokonuje. Los Angeles jest w filmie Demy bardzo pięknym miastem, jego niepokoje tkwią jednakże już pod naskórkami owego piękna. Odkrywamy je śledząc wędrówkę partnera Loli, nie pracującego architekta George’a. W postaci tej nie ma nic drażliwego, ludzie, którzy go otaczają są właściwie miłi i dobrzy, wszystko wokół wydaje się samym spokojem. Rytm życia odbiega od tego, co kryje się za stormowaniem „amerykański styl życia”. Ludzie przemierzają swe życie jakby nie widząc tego, co w świecie, który ich otacza, jest znaczące. George nie pracuje, nie chce się żenić, nie chce się bowiem stabilizować. Czekając bezwolnie na grożące mu wstąpienie do wojska. Stuchając komunikatów z Wietnamu i wypowie-

dzi Nixon’a ma nadzieję, że gdy on w wojsku się znajdzie, do Wietnamu już jechać nie będzie. Na owym stuchaniu poprzestaje. W tym pancerzu spokoju, w który postacie filmu się ubierają, w pozorach ładu i ciszy, którą Demy swój film wypełnia, tkwią sprawy, których reżyser nie nazywa, lecz każe je widzieć. Krytyka europejska uznała film Demy’ego za jeden z najlepszych obrazów współczesnej Ameryki.

★ ☆ ★

„PIERSIEŃ KSIĘŻNEJ ANNY”, to film, który ocenian należy tylko wówczas, gdy ogląda się go razem z dziećmi i młodzieżową publicznością, jej żywiołowe reakcje są bowiem miarą sukcesu filmu. Kryteria ocen stosowane przy innych filmach trzeba na chwilę odłożyć do biurka, nie ma sensu stosować ich wówczas, gdy po latach oczekiwania zjawia się wreszcie znów polski film, którego adresatem są naprawdę młodzi ludzie. Maria Kaniwska jest jedynym polskim reżyserem, który myśli o swych młodych widzach, zrealizowała „Awanturę o Basię”, „Szatana z VII klasy”, „Panienkę z okienka”, dziś proponuje „Pierścień księżnej Anny”.

Znalazła dla swego filmu dobry pomysł fabularny (opowiadanie A. Lacha), opierający się na konfrontacji obyczajowości, cywilizacji i wiedzy współczesnego młodego człowieka ze stanem tych spraw w średniowieczu. Bohaterowie filmu, przekroczywszy barierę czasu, przeżywają serię przygód Polaków i Krzyżaków roku 1406, co pozwala na wprowadzenie dobrych sytuacji komediowych. Wiele w filmie Kaniwskiej fantazji, przygody, humoru, sympatyczni i inteligentni bohaterowie, wiele okazji do sprawdzenia przez młodych widzów ich historycznej wiedzy. Tym bardziej żal, że w rozpowszechnianiu znajdują się kopie, co do których zgłosić można tak wiele zastrzeżeń. Żal, że kopie ORWO tak bardzo niszczą barwne walory filmu Kaniwskiej. To, co oglądamy jest bowiem żalonym wyobrażeniem tego, co prawdopodobnie na taśmie Eastman-color osiągnięto. Oglądając „Pierścień księżnej Anny” w sali reprezentacyjnego kina „Wisła” co najmniej jednej trzeciej dialogów nie słyszałam. Pytań należy zatem bądź o stan nagrania, bądź kopii, bądź aparatury w kinie. Co będzie z tym filmem w mniejszych kinach, co będzie z kopiami, gdy mocno się już zniszczą? A chyba się zniszczą, gdyż film u młodych swych widzów będzie miał zapewne duże powodzenie. Tak mało mamy dla nich filmów, dbajmy zatem nie tylko o ich jakość artystyczną, ale i techniczną.

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

warunki kapitulacji” (z dużą wiernością przeniesionym na ekran) i na opisie tej sceny dokonany przez generała Ulissesa Granta juniora, wnuka zwycięzcy z pod Appomaro.

Wiele kłopotów przy realizacji sprawiły sceny w teatrze Forda. Booth wykonał po zabójstwie karkołomny skok z łoża na scenę. Najbliższy stylowo Teatr Polski okazał się nieodpowiedni. Odległość pierwszego łoża od sceny była zbyt wielka i stwarzała niebezpieczeństwo. Wybór padł więc na Teatr Dramatyczny w Pałacu Kultury i Nauki.

Skok Bootha mierzony w linii skośnej byłoby sobie 16 stóp, czyli ok. 3 metrów. Morderca wykonałby go bez trudu, gdyby noga nie zaplątała mu się we flagę Unii, którą udrapowana była łoża prezydencka. Kaskader, mający zastąpić Michała Pawlickiego w skoku w czasie dokrętki filmowej, przecenił swe siły. Skoczył, ale skręcił sobie nogę w kostce i trzeba było wzywać pogotowie. Powtórzyła się jakby historia Bootha, któremu ból kostki utrudniał ucieczkę.

Scenę zatrzymania Bootha przy moście Admiralicji nakreślano w pobliżu elektrociepłowni na Sietkierkach. Realizatorzy nie przewidzieli, że zakład wypuszczający będzie w odstępach 20-minutowych nadmiar pary w powietrze. Kręcenie zdjęć przy użyciu kamery dźwiękowej przebiegało więc w warunkach szczególnie trudnych.

Prawie dziesięć lat szykowałem się do pisania, przygotowanie widowiska trwało kilka miesięcy, a same próby i dokrętki ponad miesiąc. Spektakl przemknął przez ekrany w ciągu siedemdziesięciu minut...

WŁADYSŁAW ORLOWSKI

OBIEKTYW

WYNURZENIA AUTORSKIE

Po emisji „Spektaku w teatrze Forda” ktoś spytał mnie jak doszedłem do napisania sztuki o zabójstwie Lincoln. Mogło to być w roku 1960 albo 61. Jerzy Antczak, który był wtedy na etapie gorączkowej nauki angielskiego, wręczył mi świeżo pochłoniętą książkę i powiedział: — Przeczytaj. Nie pozwalasz.

Książka nosiła tytuł „The Day Lincoln Was Shot” (Dzień, w którym zastrzelono Lincoln), a autor nazywał się Jim Bishop. Przeczytałem rzeczwiście jednym tchem i tak zaczęła się moja przygoda z Lincolnem.

Zafascynowała mnie pełna tragizmu i napięcia dramatycznego historia. Od tego czasu przeczytałem na ten temat wiele, oczywiście w zakresie mi dostępnym. Bishop przed napisaniem swojej książki zapoznał się z wszystkimi znanymi dokumentami sprawy, które liczyły sobie siedem milionów słów. Z nim trudno mi się było mierzyć.

Choć temat chodził mi w głowie, minęło prawie dziesięć lat, nim zabrałem się do nadania mu kształtu widowiska TV. Najtrudniejszą była sprawa eliminacji. Historia tragicznego wieczoru 14 kwietnia 1865 r. obfituje w tyle ważnych szczegółów, że uproszczenie jej do konwencjonalnych ram wyznaczonych przez widowisko wydawało się przedsięwzięciem zgola akrobatycznym.

W międzyczasie nastąpiło wydarzenie, którego zbieżność z morderczym strzałem aktora Bootha była wręcz zaskakująca: zabójstwo Johna Fitzgeralda Kennedy’ego. Tyle punktów stywnych miały te zabójstwa, przedzielone stuletnim odstępem czasu, że sprawa Lincoln’a nabrała dla mnie aktualnej wymowy. Myśl, że „spektakl w teatrze Forda trwa nadal”, nie opuszczała mnie odąd.

Pierwsza wersja sztuki była niezmiernie rozbudowana. Nie było w niej postaci narratora, jedynie ciąg scen dramatycznych. Okazało się jednak, że telewizja nasza nie jest w stanie tak zakrojonego widowiska zrealizować. Zacząłem więc ograniczać ilość osób i miejsc akcji. Ofiarą tych cięć (z żalem, przynajmniej) padła między innymi postać Harriet Beecher Stowe, autorki słynnej „Chyłki wujka Toma”, która obok Lincoln’a i Granta uważana była za współtwórczynię zwycięstwa nad południowcami.

Po ostatecznym uzgodnieniu tekstu rozpoczęła się realizacja obfitująca w zakulisowe ciekawostki. Oto niektóre z nich.

Reżyser Andrzej Zakrzewski przyjął moją sugestję rozwiązania sceny początkowej. W zaprojektowaniu jej oparłem się na dwóch źródłach: obrazie Toma Lovella „Lee przyjmuje

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„BŁĘKITNY JEŹDZIEC”

„Kiedy sto lat temu chciało się usłyszeć Wagnera. Jego muzykę nowoczesną rewolucyjną, przybywało się do Barcelony — gdzie potem objawili swój talent Gaudi, Picasso, Miró. Dziś jeśli ktoś chce studiować źródła sztuki nowoczesnej winien udać się do Turynu” — czytamy w jednym z ostatnich numerów „Les lettres françaises”, w artykule o działalności muzeum sztuki nowoczesnej w Turynie. Ostatnia wystawa zorganizowana w tym muzeum poświęcona jest w głównej mierze monachijskiemu ugrupowaniu artystów „Der Blaue Reiter” (Błękitny jeździec) z początków naszego wieku.

Od trzech lat co roku odbywają się w Turynie wystawy malarstwa nowoczesnego. Muzeum sztuki nowoczesnej powołane do życia i zorganizowane dzie-

nym wyłącznie sztuce nowoczesnej.

Początkowo organizatorzy muzeum prezentowali na swych wystawach dzieła poszczególnych malarzy, później pokusili się jednak o ekspozycje syntetyczne, o pokazanie jakiegoś kierunku czy grupy artystycznej.

Pierwsza wystawa tego rodzaju, trzy lata temu, poświęcona była twórczości surrealistów, druga — symbolistów, obecna stara się w jak największym zakresie ukazać działalność artystyczną twórców grupujących się wokół Kandinskiego i Marca.

Wasył Kandinsky (1866—1944) przeszedł długą drogę artystyczną od form stylizowanych, opartych na motywach folkloru rosyjskiego poprzez dzieła abstrakcyjne, apelujące do sfery uczuciowej widza i abstrakcjonizm intelektualny, by wreszcie wypracować syntezę elemen-

te wierszy, a w połowie zeszłego roku, po klęsce wyborczej swego męża, opublikowała 58-stronicowy zbiorek wierszy lirycznych pt. „Selected Poems” (Wiersze wybrane). Zbiorek spotkał się ze zdumiewającym powodzeniem. Rozprzedano go w ilości 65.000 egzemplarzy. Ostatnio producent płyt Cyril Stapleton nagrał wiersze Mary Wilson w jej wykonaniu na długogrającą płytę.

ZBYT DOBRZE ZAGRAŁ

Podczas przedstawienia operowego „Polawiacze pereł” wystawianego w operze w Awinionie, baryton Robert Massard tak przejął się swoją rolą, że zamiast zamarkować samobójstwo wbił sobie w brzuch sztylet. Ranny aktor odczekał aż zapadnie kurtyna po drugim akcie, by poddać się opiece lekarskiej. Pierwszej pomocy udzielił mu pewien chirurg-meloman, który znajdował się na widowni.

W DWÓCHSETLECIU URODZIN WYNAŁAZCY LITOGRAFII

W mieście Offenbach (NRF) w związku z 200 rocznicą urodzin Alois Senefeldera powstanie Fundacja jego imienia. Senefelder przy poparciu wydawcy Johanna André dokonał w roku 1799 epokowego dla drukarstwa wynalazku — litografii, odmiany druku płaskiego. W miejskim muzeum w Offenbach otwarta też zostanie wystawa poświęcona pamięci Senefeldera.

ZMARŁ IGOR STRAWIŃSKI

Po trwającej od roku chorobie, w wieku lat 88 zmarł na atak serca w Nowym Jorku, światowej sławy kompozytor pochodzenia rosyjskiego, Igor Strawiński.

Mając osiemdziesiąt cztery lata spędził jeszcze cztery do pięciu godzin dziennie przy fortepianie. Dopiero gdy miał lat osiemdziesiąt zgodził się, by dyrygować orkiestrą siedząc. Aż do ostatnich chwil swego życia był zdumiewająco aktywny. Urodził się w 1882 roku jako syn znanego śpiewaka rosyjskiego, bosa Flodora Strawińskiego. Był uczniem znanego kompozytora Rimskiego-Korsakowa, dla którego całe życie odczuwał

wdzięczność i któremu często dedykował swe utwory muzyczne.

Od roku 1910 Strawiński przebywał głównie w Paryżu. W roku 1939 przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Twórczość tego genialnego kompozytora wywarła ogromny

wpływ na całą muzykę współczesną, on sam zaś uchodził za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli modernizmu w muzyce. Tworzył m. in. słynne balety jak „Zar-ptica” (Ptak ognisty), „Pietruszka” czy „Święto wiosny”. Balet „Zar-ptica” stał się ukoronowaniem młodzieńczej twórczości kompozy-

torów orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.



Igor Strawiński. Rys. Picasso (1920).

terpretował balet Strawińskiego na sposób zupełnie nowy przy pomocy utworu wybitnie żywego ducha rewolucyjnego.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

terpretował balet Strawińskiego na sposób zupełnie nowy przy pomocy utworu wybitnie żywego ducha rewolucyjnego.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.

Igor Strawiński pozostawił wiele wybitnych utworów muzycznych: opery, utwory orkiestrowe, utwory wokalne-instrumentalne jak np. „Symfonia palmów”, utwory kameralne.



Wasył Kandinsky — projekt okładki albumu „Błękitny jeździec”. (1911), akwarela.

ki miejscowym miłośnikom sztuki, mieścił się w nowoczesnym budynku i jest pierwszym nowym muzeum we Włoszech po wojnie i jedynym w tym kraju muzeum poświęco-

nym wzruszeniowych i intelektualnych doświadczeń. Wybrałem rodzinę raczej humorystyczne z uwagi na styl i nie-

MARY WILSON — POETKA

Tak, tak, chodzi o byłą premierową, panią Mary Wilson, której mąż Harold Wilson był w latach 1964—1970 brytyjskim premierem. Mary Wilson ma obecnie 55 lat, zawód: przy mężu (od lat trzydziestu). Jest córką pastora. Już jako dziecko układała zgrab-

we... Opinie zostają w aktach, bo zobiektywizował je fakt pieczątki i ówczesne stanowisko opiniującego. W międzyczasie autor opinił mógł wyjechać hodo-

wać pomarańcze w południowych krajach, bądź został zdemaskowany jako półgłówek i kacyk. Ale opinia została w teczce i nie ma siły, aby ją stamtąd ruszyć.

Znam wielu ludzi, którym opinia ograniczonego bubka zapaskudziła życie na całe lata. Bubek, oczywiście, podzielił z czasem i z wszystkich umysłowych kurdupli, ale nonszalancko rzucane przez niego oceny ludzi pozostały w aktach.

Ostatecznie można by machnąć ręką na tę całą sprawę i parafrazując słowa fraszkopisa, rzec: „Nie dbaj panna o opinie byleś zachowała linie”.

Ale to nie takie proste. Nasze „linie” określa nam przecież w sposób urzędowy — a więc wiarygodny — właśnie wpis do akt opinia. I nikt się po latach nie spyta, co dziś robi i gdzie przebywa ów pan, który opinie sporządził. Nikt się o to nie spyta — każdy natomiast przestu-

duje owe oceny i cenzurki i na ich podstawie ukształtuje sobie opinie o naszej linii. Nie patrząc nawet, czy nam się figura zaokrągliła.

Opinie zresztą wloką się za ludźmi nawet wówczas, gdy jakiś podmuch wiatru wymiotł je z personalnych teczek. Opinia jest bowiem faktem samym w sobie i nie zawsze musi być związana z konkretnym papierkiem, pieczątką i podpisem. Czasem papierek strawił ogień, ale duch w teczce pozostanie.

Opiniami nie tylko współcześni martwią się i fryturą. Bohater Sienkiewiczowskiej „Rodziny Połanieckich” mówi: „Tamten lotr robi wszystko, żeby mnie zgubił w opinii”. A bohater „Lalki” Prusa rzezie: „Bo pan dobrodziej złudzone plotkami wyrobił sobie o mnie nieprzychylną opinię”.

Więc rzecz jest stara jak świat, ale współcześnie nabrala cech urzędowych, stała się instrumentem ważnym i wszechobecnym. Jako taką winna ją cechować powaga i odpowiedzialność. Cytowane w wstępie autentyczne

fragmenty opinii, choć na pewno obiektywnie śmieszne — są dokumentem smutnym. To nie tylko sprawa nieporadności językowej, to także sprawa nieporadności umysłowej w ocenie zjawisk i ludzi czyli spraw daleko bardziej skomplikowanych niż gramatyka i stylistyka języka polskiego.

Jest także powiedzenie, że człowiek kształtuje swoją opinię. To, oczywiście, prawda — ludzkie czyny i postawy tworzą w jakimś sensie owe opinie w tęczkach personalnych instytucji. Ale przecież bywa i tak, że to ów magiczny papierek, owa opinia sporządzona nonszalancko, fałszywie, czy jednostronnie, kształtuje potem życie człowieka. Bywa przecież i tak, że człowiek przestaje tworzyć swoją opinię, ponieważ opinia żyjąca własnym życiem tworzy zupełnie innego człowieka. Tworzy go de jure nie de facto — ale kto wie, czy takie stworzenie nie ma mocniejszego życia?

Tym kończę i proszę załączyć powyższy felieton do mojej opinii.

JERZY WIDOK

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- + JERZY DARNAL — Zamach na szkołę
 - + KAROL BADZIAK — Opowieść pioniera
 - + CECYLIA DUNIN — Bibliotekarz — istota nieznaną
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

MOJA OPINIA NA TEMAT OPINII



„ZIEWAŁ W GODZINACH NADLICZBOWYCH” — WCALE NIE WESOŁE — OPINIA ZOSTAJE — CO MÓWI FRASZKOPIS? — PROBLEM JEST STARY — SKOMPLIKOWANA GRAMATYKA ŻYCIA — FELIETON JAKO ZAŁĄCZNIK

„Obywatel Iks nie jest notowany w nadużyciach gospodarczych” — „Obywatel Igrak jest jednostką społeczną, która wzięła w szkole” — „Praca obywatelki Ypsilon jest nerwowa, wyczerpująca i narażona na wszawicę” — „Obywatel Zet jest zapatrywania odwróconego od obecnej rzeczywistości” — „Obywatel H. przynosi moralną i materialną szkodę państwu, ziewając w godzinach nadliczbowych...”

Co to jest? Oczywiście autentyczne fragmenty różnych opinii. Wybrałem rodzinę raczej humorystyczne z uwagi na styl i nie-

poradność. Jest to więc humor — obiektywnie rzecz biorąc — językowej natury, ale... Niestety, subiektywne skutki tych ocen — dla zainteresowanych na pewno nie były wesołe.

Cytowane tu opinie były z pewnością dziełem umysłów prymitywnych i dziś — chcę w to wierzyć — autorzy owych elaboratów zażywają spokojnej emerytury, bądź zostali wyeliminowani z działalności publicznej, polegającej na opiniowaniu bliźnich.

Ale — opinie zostały. Nie ważne, kto je pisał, kto oceniał ludzi, jakie miał do tego kwalifikacje umysłowe...

BEZ strachu

ŚMIERĆ PARODYSTY

— Dlaczego biegniesz? Przed kim uciekasz? Zatrzymaj się, przystój ci stateczność, ugrunтовana gośność.

— Uciekam przed dwiema gromadami ludzi — jedną większą, to ci, których nie sparodiowałem, drugą mniejszą, to ci, których sparodiowałem. Zostałem bowiem parodystą i chwile moje są policzzone. Ci, których sparodiowałem uważają, że zostali źle sparodiowani, ci natomiast, których nie sparodiowałem, zioną zemstą, gdyż nie zostali sparodiowani. Nie ma dla mnie ratunku!

— A ja nie dybię na ciebie mimo, że mnie nie sparodiowałeś!

— Zacznieś dybać, dokiądnie za cztery minuty i trzydzieści sekund. Dowiedziałeś się, że właśnie jestem parodystą, który ciebie nie sparodiował. Otóż proces narastania nienawiści, aż do chęci mordu, trwa w takim wypadku pięć minut.

— Ależ zapewniam cię o życzliwości...

— Młecz, jeszcze cztery minuty mi popaszę z tobą. Właśnie w tym momencie powinien być na etapie zapewniania o życzliwości i... Wszystko rozwija się typowo. O! Gdybyś nie wiedział, że nie zostałeś sparodiowany, złożyłbym bezpiecznie głowę pod twoim namiotem! Ale gdybyś nie wiedział to byś się dowiedział. Tak i ty na mnie się złożysz, nie ma dla mnie, sieroty, ratunku!

— Właściwie, twoje obawy przede mną są obraźliwe!

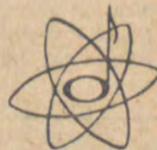
— O zaczyna się już powoli — jeszcze całe trzy minuty do decyzji zbrodni, a już dyszysz gniewem.

— To brudny skandal, to podłość podjętą przez uczciwego człowieka!

— Właśnie, właśnie — dwie minuty i osiemdziesiąt sekund. No, co do mnie, umykam. Bywaj, a raczej nie bywaj!

Zostałem sam. Parodysta umknął stukając obcasami ze sztucznego tworzywa. On mnie przecież znieważał — uznał za mordercę! A jak złośliwie mnie wyszydził. Jestem tęym mordercą — mordercą, który sam nie wie jak, mimo, że już wie co i że... Uznał mnie mordercą — niedoradką. Sparodiował mnie. Zaskarżę go do sądu. Ale sąd to twardy racjonalizm, to emblematy, purpury i szandary. To, oczywiście, prawda — ludzkie czyny i postawy tworzą w jakimś sensie owe opinie w tęczkach personalnych instytucji. Ale przecież bywa i tak, że to ów magiczny papierek, owa opinia sporządzona nonszalancko, fałszywie, czy jednostronnie, kształtuje potem życie człowieka. Bywa przecież i tak, że człowiek przestaje tworzyć swoją opinię, ponieważ opinia żyjąca własnym życiem tworzy zupełnie innego człowieka. Tworzy go de jure nie de facto — ale kto wie, czy takie stworzenie nie ma mocniejszego życia?

BERNARD SZTAJNERT



RYZYKO

(Dokończenie)

— Tak jest. Czy pan coś wie na ten temat?

— Ja? Nic nie wiem.

— Czy pan jest znajomym Rothów?

— Ależ nie, zupełnie ich nie znam.

— A więc skąd ta ciekawość?

— Studiuję kryminologię i ta sprawa mnie zainteresowała.

— Czy pan przypuszcza, że chodzi tu o przestępstwo?

— Prawdopodobnie. Ludzie bogaci... Takim zawsze coś się zdarza. Czy mogą tu jeszcze zostać, chyba, że nie wolno?

— Sądzę, że prawo tego nie zabrania.

— Policjant nie miał już chęci na dalszą rozmowę, James wrócił do swego samochodu. Za chwilę przyjechał czerwony Buick. Z domu wyszli czterej mężczyźni. Tak, jeden z nich był na pewno Peterem Rothem. Ten wysoki, silny, przystojny! Inni zadawali mu pytania, a Roth potakiwał. Tak, to jest auto mojej żony. Lecz gdzie jest Lucy?... Opuścił głowę na pierś i patrzył w ziemię.

— Widzisz, Lucy, twój mąż cię kocha i ty go kochasz... Szkoda, wielka szkoda — uśmiechał się James.

— Kilka minut później pojechał do pobliskiej restauracji, gdzie zamówił śniadanie. Zjadł dwie bułki i wyjął czekoladę. Gdy wracał do mieszkania Rothów, zatrzymał się na stacji benzynowej. — Czy pan słyszał o tej zaginionej kobiecie? — zapytał służącego, który nalewał benzynę do jego auta opierając się o tylny błotnik.

— Pani Roth? Tak, znałem ją, często zatrzymywała się u mnie. Piękna kobieta i taka delikatna. Szkoda, już jej nie znajadą żywej.

— Słyszysz, Lucy, poznałaś głos tego człowieka? Dlaczego nie krzykniesz, że jesteś tam zamknięta? Lecz ty wiesz, co bym zrobił przy najmniejszym hałasie, prawda?

— Podał dolara mężczyźnie i odjechał. Śmiał się głośno. Uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, nigdy nie wiadomo, co może zrobić kobieta. Czuli teraz wielkie odprężenie, wspaniałą, cu-

downą ulgę! Tak, to było życie...

— Teraz, gdy znalazł się znów przed domem Rothów, zatrzymał się obok aut policyjnych. Zbliżył się do policjanta, z którym rozmawiał przed śniadaniem. Nadszedł także sierżant.

— Co słychać nowego? — zapytał James.

— Sierżant zlustrował go nieufnym spojrzeniem. — Kim pan jest?

— Odpowiedział policjant: — To jest ten student kryminologii, był tu już rano. — Rozeźmielił się obaj.

— Jeszcze nic nie wykryto — wyjaśnił sierżant.

— Czy to znaczy, że nie znaleźliście pani Roth?

— Sierżant potrząsnął przecząco głową. — Wiemy tylko, że pani Roth zostawiła auto na parkingu. Ekspedientki widziały, jak wychodziła z domu towarowego i na tym ślad się urywa.

— To wszystko bardzo ciekawe. Czy pan pozwoli, że wezmę notes i zapiszę sobie pewne rzeczy? Chciałbym się dowiedzieć, jakie teorie własne ma pan co do tego przypadku.

— Sierżant czuł się pochlebiany. — Proszę, bardzo proszę!

— James poszedł do swego auta, wyjął z kieszonki notes i ołówek. Lecz nie wrócił do policjantów, stanął przy bagażniku i udawał, że coś pisze, spoglądając od czasu do czasu na dom Rothów.

— Sierżant zdetonowany postępowaniem „kryminolo-a” zbliżył się do bagażnika. — A więc co chciałby pan wiedzieć, przyjacielu? — zapytał.

— Ach, to pan... Najpierw, jeżeli można, poproszę o pańskie nazwisko.

— Henry Hallock. Pracuję w sprawie Rotha wraz z porucznikiem Johnsem.

— Zannotował skrupulatnie. — Co pan myśli na temat zniknięcia pani Roth? — zapytał następnie.

— No cóż, albo uczyniła to z własnej woli, albo została porwana. Lecz raczej to drugie.

— Ale w jakim celu? — zdziwił się James.

— To jest rodzina zamożna i może spodziewają się dużego okupu. Jak dotąd, porwacze nie ujawnili się jeszcze. Mogł to być także zwykły rabunek.

— Panie sierżancie, jeżeli cho-

dzi o rabunek, to dlaczego pani Roth nie wróciła do domu?

— Sierżant westchnął. — Przyjacielu, widzę, że pan nie czyta gazet. To jest sprawa skomplikowana, ofiara widziała twarz przestępcy i może go zidentyfikować. Aby temu zapobiec, przestępca pozbywa się swej ofiary. A ciało możemy znaleźć dopiero po wielu dniach, a nawet miesiącach.

— Czy nie widzi pan innego motywu poza kradzieżą?

— Hallock podrapał się po głowie, oparł nogę na tylnym błotniku i rozmyślał. — Wszystko się zdarza, mogą być motywy logiczne i nielogiczne, takie, o których nikt by nie pomyślał... Te nieprzewidziane motywy bardzo utrudniają pracę policji.

— James ciągle notował. — Chciałbym jeszcze wiedzieć, jak to przyjął pan Roth?

— Jest ogromnie przynębniony, kocha swoją żonę, Lucy.

— Jak pan powiedział, Lucy?

— To jest imię pani Roth, Lucille.

— James zanotował. — A dzieci, co mówią, co robią?

— To jest najgorsze. Płaczą i

ciągle pytają, kiedy wróci mama.

— Nastąpiło długie milczenie. Wokoło panowała cisza, najmniejszy szmer, czy niespodziewane słowo rozległoby się jak odgłos grzmotu. James włożył rękę do kieszeni, palce jego zacisnęły się koło broni. I co teraz zrobisz, Lucy? Jedno twoje słowo — i oboje jesteśmy martwi. Ja zabiję ciebie, a ten zbir zabije mnie. Czujesz to wielkie ryzyko, Lucy? Słyszysz, co mówił ten człowiek, jesteśmy przed twoim domem. A więc, Lucy, co chcesz zrobić?...

— Co się panu stało, przyjacielu? — zapytał nagle sierżant.

— Czy pan źle się czuje? Jest pan trupio biały.

— To dlatego, że słuchałem, co pan mówił o dzieciach.

— Tak, tak rozumiem.

— James poczuł się słabo, oparł się o bok wozu aby nie upaść. Otworzył drzwiczki i usiadł przy kierownicy. Zapuścił motor zostawiając sierżanta, który coś mówił i przytulił się oddalającym się wozem.

— Dopiero po jakimś czasie James zdał sobie sprawę z tego,

co zrobił. Czuli się dumny, szczęśliwy! To wielkie ryzyko, wyszedł z niego zwycięsko!

— Jeździł jeszcze długo. Potem zjadł kolację w restauracji na wolnym powietrzu, gdzie także obejrzał film. Była już północ, gdy wrócił do domu. Śkręcił w boczną uliczkę, wjechał do garażu, wysiadł z samochodu, potem zamknął garaż na klucz. Wszedł do domu tylnymi drzwiami.

— W saloniku była siostra, jej mąż oraz dwaj policjanci. — To on — rzekł sierżant Hallock.

— James był tak zdziwiony, że nie odczuł nawet strachu. — Tak — rzekł głucho — to ja jestem tym człowiekiem, z którym pan rozmawiał dzisiaj.

— Chciałbym zobaczyć pański samochód — oznajmił Hallock.

— James patrzył na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu. Czuli w kieszeni rewolwer, mógł go wyjąć, strzelić... Nie uczynił tego. — Jak pan mnie odnalazł, sierżancie? — zapytał. Dziwne — jedyne uczucie, którego teraz doznawał — to była ogromna ciekawość.

— Zapamiętałem numer tabliczki rejestracyjnej, stałem przecież tak blisko samochodu.

— Zaprowadził policjantów do garażu, otworzył bagażnik. Śmiał się długo, gdy zobaczył ich przerażenie. Śmiał się jeszcze, gdy zakładano mu kajdanki. Zaprowadził go do wozu policyjnego. Hallock wziął mikrofon i połączył się z centralą.

— Tak, znaleźliśmy panią Roth — wyjaśnił sierżant. — Zyje, lecz jest bardzo osłabiona. Przecięta sobie nadgarstek odłamkiem lusterka. Potem ułożyła rękę nad otworem w podłodze bagażnika, aby krew wyciekała na zewnątrz. Zauważyłem krew w momencie, gdy samochód oddalał się od domu Rothów.

— James przerwał sierżantowi, wyrwał mu mikrofon z ręki i krzyknął: — Człowiek, który to uczynił jest bohaterem... Zatrzymał się przed jej domem, rozmawiał z policją, a ona była zamknięta w bagażniku jego samochodu. Jeden z policjantów był tak blisko... Któż inny odważyłby się na takie ryzyko?



Lewym
okiem

ZAMIAST SENNIKA

Jak wiemy, żadna piosenka o miłości — a przecież rzadko która piosenka ma za temat coś innego niż miłość — i żaden wiersz miłosny nie może się obejść bez śnienia. Zawsze „śnię o tobie”, „przychodzisz do mnie we śnie”, „szczęśliwy byłem śniąc o tobie” i tak dalej. I znowu, psiakość, nieprawda!

Naukowcy zabrali się nawet do marzeń sennych. Zebrano ochotników, spisywano zapamiętane przez nich sny. Po zebraniu dziesięciu tysięcy takich zapisów cóż się okazało?

Mężczyźni śnią w ogromnej większości o mężczyznach, kobiety — o kobietach. Nie wiadomo, dlaczego tak jest, ale jest i już. „Dziś śniłaś mi się, kochanie” — to retoryczny zwrot, nie odpowiadający stanowi faktycznemu. Natomiast stwierdzono, że jeśli już kogoś uczyć przez sen — na przykład języków obcych — to lektorem dla uspijonych uczennic powinien być mężczyzna i na odwrót. Skutki są wówczas lepsze i szybsze. Wynika z tego, że przez sen kobiety mogą nam umówić co chcą. Uważajmy!

Z teże analizy dziesięciu tysięcy snów wynika ponadto, że prawie nigdy nie śnią się ludziom sprawy, związane z ich pracą zawodową i dziejące się w miejscu pracy. Widocznie mamy dość tego miejsca za dnia. Natomiast 24 procent marzeń sennych rozgrywa się we własnym pokoju, rzadziej w kuchni; 19 proc. — na ulicy lub w otwartym krajobrazie; 13 proc. — w samochodzie (badania prowadzono w kraju wysoko zmotoryzowanym; u nas byłby to może motocykl).

Najczęściej powtarzające się czynności, to — w kolejno: chodzenie, bieganie, pływanie, taniec, zabawa — a więc przede wszystkim ruch. Rzadziej występuje mówienie, roboty ręczne, rozmyślanie, spory, walka. Bardzo rzadko gotowanie, prasowanie, zmywanie i pisanie na maszynie.

Pokazują się też zwierzęta. Podobno zauważono taką prawidłowość, że czym inteligentniejszy człowiek, tym wyżej stojące na drabinie ewolucji zwierzęta występują w jego snach... Intelktualiści śnią więc o lwach i bizonach, ludzie mniej wyrobieni umysłowo — o wróblach i gołębiach, gorzej, gdy zacznie się marzyć o pijawkach, dżdżownicach i gąbkach. Jednocześnie stwierdzono, że zwierzęta ssące występują częściej w marzeniach kobiet. Szkoda, że sufrażystki angielskie tego nie wiedziały, miałyby jeden argument więcej w walce o prawo kobiety do zawodów inteligentnych...

Bardzo, czule aparaty zarejestrowały, że w proce-

sie spania człowiek przechodzi różne fazy, między innymi taką, podczas której jego gałki oczne pod przymkniętymi powiekami wprawione są w szybki ruch. Zupełnie tak, jak gdyby śpiący obserwował film na szerokim ekranie. Przypuszcza się, że właśnie wtedy śpiącemu coś się śni. Jeśli tak, to stwierdzić można, że marzenia sennie zajmują w sumie od godziny do półtorej, przy czym mogą to być bardzo różne, krótkie a liczne „przygody”.

Ich zmiana następuje prawdopodobnie z każdą najmniejszą zmianą położenia śpiącego. To jeszcze jedna nieprawda, że śpiący godzinami bez ruchu. Przeprowadzono setki ścisłych obserwacji. Nikt z obserwowanych nie wytrzymał dłużej w jednej pozycji niż 40 minut, a czterdzieści procent śpiących poruszało się i „poprawiało” co 5—10 minut.

Naszemu odżywianiu poświęcono tysiące a tysiące ksiązek lekarskich, kucharskich, dietetycznych. W stanie uspijonym przeżywamy prawie trzecią część życia, a kto nam kiedy poradził, jak spać? Kto wytłumaczył różne związane ze spaniem zjawiska?

Są na świecie liczne towarzystwa smakoszów, żarłoków, koneserów. Nie ma organizacji śpiochów. A właśnie wpadła mi w ręce niemiecka ksiązeczka, poświęcona wszystkiemu, co związane ze spaniem. Wcale nie sennik! Stąd tych parę ciekawostek. Śpijmy racjonalnie, obywateli! Z pełną świadomością tego, że śpijmy...

CWIEK